

Łódzki Sierpień 80
w świetle
badań socjologicznych

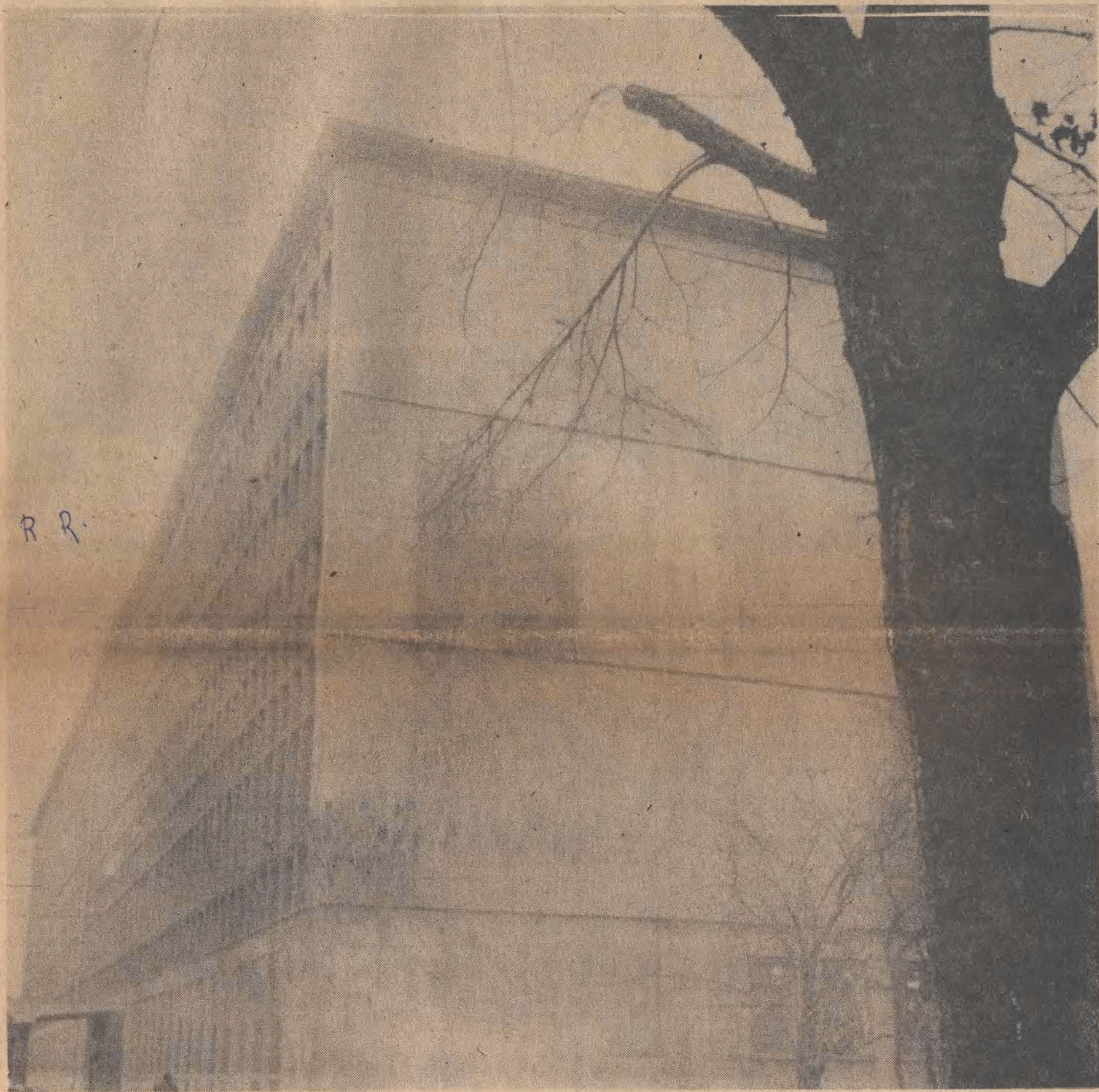
Proza
Tadeusza Papiera

Łódź **tygodnik społeczno-kulturalny**
Odgłosy

NUMER 33 (1286) ROK XXV

19 LISTOPADA 1982 ROKU

20 ZŁ



R.R.

Książkę jak chleb...

JOLANTA WRÓŃSKA

Biblioteka Uniwersyteckiego, jak i Uniwersyteckiego, została powołana do życia w 1945 roku. W 1980 roku otrzymała wielki i nowoczesny budynek, który ma być miejscem, gdzie można znaleźć wszystkie książki, które są potrzebne do nauki i pracy.

Nowa siedziba jest przepiękna, imponująca, robi duże wrażenie. Niewiele uczelni może się poszczycić taką biblioteką. Z jednej strony dobrze żyje się ze świadomością, że jest lepiej niż u innych, że można ośmielić gości, a drugiej jednak — bardzo przeszkadza, bo władze uniwersytetu miasta też się chwalią tym wspaniałym gmachem.

Goście widzą na ogół przepiękną korytarzową hol, gdzie młodzież pracująca przy wygodnych stołach w jasnych czytelniach w placówce imienia Kłosa. Nie widzą — bo tłumy nigdy nie prowadzą marszrut — tory, ciasnoty, zaplecza technicznego, przeciążonych stropów w zatłoczonych magazynach, nie widzą warunków, w jakich pracuje służba biblioteczna, ani dźwigających setki kilogramów książek kobiety — stanowiących większość personelu.

Pewnie dlatego kierownictwo BUŁ wpadło na pomysł zerwania z głęboko niesłuszną tradycją oprowadzania gości po najpiękniejszych salach i czytelniach, lecz przegania delegację frasa windacza — jak usłyszałam „wzdłuż naszych smartwien”.

**PAPIER CIERPLIWY...
I CIĘŻKI**

Magazyn główny BUŁ, to 10-piętrowy gmach, przeznaczony dla 1-milionowej jednostki, tj. jednostka, to nie tylko pojedyncze tomy, ale także woluminy, rekonkordy, czasopiśmiennictwo. Te 1000 tytułów osiągnąć biblioteka

5

Foto: M. Z. Jędrzejewski

Każdy jak Zawisza...

EUGENIUSZ IWANICKI

Wiedomo było od dawna, że takie harcerstwo, jakie egzystowało w latach siedemdziesiątych, nie może spełniać swojej najważniejszej funkcji wychowawczej. Włączone w Federację Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej zostało całkowicie pozabawione nie tylko samodzielności, ale nie mogło realizować podstawionych sobie celów, nie spełniało oczekiwań młodzieży, wreszcie straciło niejako swoją autentyczność i osobowość. Dopiero VII Zjazd ZHP dokonał wyjątkowego podziału uchwały o wystąpieniu ZHP z Federacji. Decyzja była doniosła, choć nie odzwierciedlała się od współpracy i współdziałania z innymi organizacjami młodzieżowymi stojąc na stanowisku, że naczelnym dobrem jest dobro ojczyzny i jej obywateli, poszanowanie dla tradycji oraz rozumienie dnia dzisiejszego.

ZHP stoi u progu odnowy. Jego działacze stawiają na kulturę, która winna stać się na obecnym etapie najważniejszym i najpilniejszym zadaniem organizacyjnym. W całej swojej historii harcerstwo polskie uczestniczyło w tworzeniu wartości duchowych narodu, kontynuowało najlepsze nasze tradycje, było głosiicielem wszelkich cnót obywatelskich.

Co to znaczy służyć kulturze? Jakże przedsięwzięcia należy

rozpocząć, czego dokonać, gdzie szukać oparcia, a gdzie zwyciężać podjąć walkę z marazmem, zniechęcią, obojętnością, głupotą? Czy czytać wszystko, czy dokonywać selekcji, chodzić na wystawy, czy hordować tylko muzyce rockowej?

Pytań jest wiele. Odpowiedzi będą trudne, czasem wręcz niepopulärne, lecz edukacja narodowa jest wspólną sprawą i tych najmłodszych i tych na samej górze.

Tak się jakoś składało, że edukację rozpoczynało się od książek. Dziś książek nie ma szczególnie dla najmłodszych, nie ma owych cudownych opowieści, które pobudzały wyobraźnię, zmuszały do marzeń i orzeźwić. Nie ma także książek dla młodzieży. Na dobrą sprawę książek nie ma wcale, gdyż trudno mówić o istnieniu jakiegokolwiek pozycji książkowej, jeśli jej nakład wynosi raptem 10 tys. egzemplarzy. Dlatego wielkim pomocnikiem w edukacji były i będą nadal biblioteki domowe, szkolne, przykładowe, rejonowe, miejskie itp. Nie można wierzyć, że młodego Polaka wychowa telewizja i prasa codzienna. Jas musi przeczytać i przeżyć nie tylko „Karolce” czy „Kubusia Puchatka”, ale musi być w muzeum, trafić na koncert do filharmonii, obejrzeć spektakle w teatrze, a wszystko dła-

go, że dorosły Jan, jeśli nie zamarł tego wszystkiego w młodości, nie będzie czuł potrzeby obcowania ze słowem drukowanym, z obrazem i koncertem.

A harcerze? Przecież oni są także twórcami kultury, może nie tej na miarę zawodowych animatorów życia duchowego, ale tej codziennej przy ogniskach, na szlakach turystycznych, w czasie zbiorów i biwaków. Co mają do powiedzenia ich wychowawcy, którzy będą realizować program edukacji poprzez kulturę?

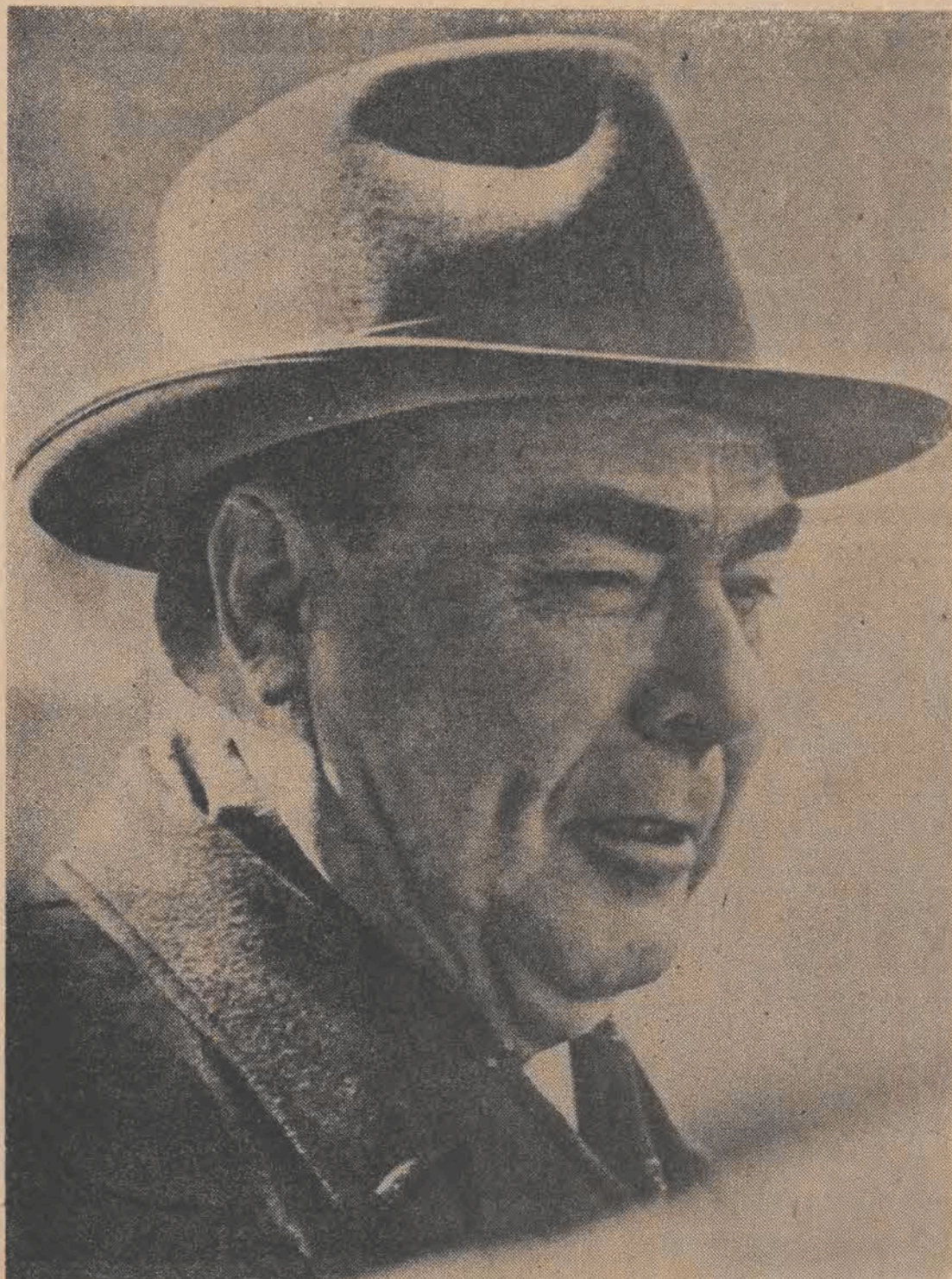
Oto ich wypowiedzi:

ROMAN OLCZAK — podharcmistrz, instruktor referatu starszoharcerskiego Łódź — Śródmieście: Mam wychowywać poprzez kulturę. Dobrze. A kto nas wychowa? Paradoxs? Wcale nie. Przecież nas także wychowywano niewłaściwie. Nasza kultura kształtuje trzy momenty: dom, środki masowego przekazu i szkoła. Więc trudno mówić, że drużynowy wychowuje harcerzy. Przecież wszyscy korzystamy z tych samych źródeł wychowania obywatelskiego, otrzymujemy po równo.

SEAWOMIR DOBROWOLSKI — organizator, pełniący obowiązki kierownika referatu turystyki i sportu: Dlaczego akurat mamy się wychowywać przez kulturę? Czytać książki, chodzić do teatru? A może by tak inaczej? Myślę, że nie można narzucać drużynom, by zajmowały się teatrem lub muzyką. Niech każdy oddaje się takiemu zajęciu, które lubi. Znam drużynę, która chce uprawiać spadochroniarstwo-lotniarstwo. Jest to rzadka jeszcze specjalność, ale to ludzi zbliża do siebie. Jednoczy łączy i wychowuje.

DARIUSZ BARANOWSKI — organizator, drużynowy 92 Łódzkiej Drużyny Harcerskiej: Przecież poprzez jednostkowe akcje, jak np. 8 Marca, można doskona-

6



Leonid Breżniew o Polsce

O GRANICACH

„Dzień dzisiejszy jest wielkim dniem w historii stosunków radziecko-polskich, w życiu naszych krajów. Przedstawiciele Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i Związku Radzieckiego złożyli dziś podpisy pod nowym Układem o Przyjaźni, Współpracy i Pomocy Wzajemnej między naszymi krajami...”

Sojusz ten odpowiada żywotnym interesom obu naszych krajów. Jednocześnie jest on ważnym ogniwem potężnego sojuszu europejskich krajów socjalistycznych, jakim jest Układ Warszawski. Odpowiada on interesom jednoci całej wspólnoty socjalistycznej. Stanowi istotny czynnik pokoju i bezpieczeństwa w Europie.

Możecie być przekonani, drodzy przyjaciele, że jeśli ktokolwiek ośmieli się podnieść rękę na integralność terytorialną Polski Ludowej, na święte zdobycze narodu polskiego, nasz kraj wraz z wami wystąpi w ich obronie. Problem granic Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, podobnie jak w ogóle problem powojennych granic w Europie, rozstrzygnięty został dawno, w roku 1945, w Układzie Poczdamskim mocarstw koalicji antyhitlerowskiej. Problem ten został rozstrzygnięty ostatecznie i bezpowrotnie.”

8 kwietnia 1965
na spotkaniu z ludnością Warszawy

O POKOJU

„Aby budować socjalizm i komunizm, konieczny nam jest pokój. Pokój konieczny jest wszystkim narodom. Nie chcę one, aby powtórzyła się tragedia wojny światowej, która przyniosła im niezliczone ofiary i cierpienia. Ludzie nie chcą ginąć, nie chcą, żeby obracały się w perzynę miasta, żeby płonęły wsie. Dlatego też polityka pokoju, którą prowadzi Związek Radziecki i Polska, wszystkie bratnie kraje socjalizmu — jest polityką prawdziwie ludową. Opowiadamy się za pokojem, za tym, aby przyszłe pokolenia nie zasnęły już więcej potworności wojny. Nasza waga na arenie międzynarodowej, cała nasza potęga służy osiągnięciu tego szlachetnego celu...”

Bratnie partie komunistyczne wysoko oceniają wysiłki Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, która w ciągu całego okresu powojennego niezmiennie i aktywnie walczy o umocnienie bezpieczeństwa europejskiego i międzynarodowego, o likwidację źródeł niebezpieczeństwa wojny, o rozbrojenie, o rozwój pokojowej współpracy między narodami. Polska odrodzo-

na, Polska socjalistyczna zajęła poczesne miejsce w polityce międzynarodowej.”

7 grudnia 1971
na VI Zjeździe PZPR

„Na przestrzeni wieków w Europie, a zresztą nie tylko w Europie, prawie każde pokolenie miało „swoją wojnę”. Nasze pokolenie musiało dźwigać ciężar najbardziej niszczycielskiej wojny w historii ludzkości. Jej blizny pozostały na milionach z nas, na ziemi naszych krajów, w pamięci naszych narodów. Nie pozwalają one zapomnieć nam, żywym, o obowiązku wobec tych, których zabrakło, i wobec tych, którzy nadejdą, aby kontynuować nasze dzieło.

O tym szczerym obowiązku przypominało mi jeszcze raz zaszczytne odznaczenie otrzymane od bratniej Polski — Order Virtuti Militari. Nie ukrywam, że wzruszony jestem tym, iż Rada Państwa i Rząd Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej przyznały mnie ten order, najwyższe odznaczenie za zasługi wojskowe.”

Warszawa, 21 lipca 1974
przemówienie na uroczystym posiedzeniu Sejmu PRL

O KRYZYSIE

„Z pełnym zrozumieniem przyjęliśmy informację o narodowej decyzji podjętej przez polskich przyjaciół po to, aby obronić władzę ludową, ostudzić namiętności, by wyprowadzić kraj z przewlekłego, męczącego kryzysu. Były to kroki podjęte we właściwym czasie...”

Z gorzkich wniosków z tego, co się zdarzyło, płynie nauka. A komuniści umieją się uczyć. W pełni naturalne jest dążenie Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i pozostałych z nią w sojuszu stronnictw do oczyszczenia praktyki budownictwa socjalistycznego z wszystkiego, co jest naleciałością, co jest obce charakterowi socjalizmu. Słuszną jest wasza troska o przywrócenie awangardowej roli partii i klasy robotniczej. Wasza długofalowa, trwała orientacja na podnoszenie politycznej aktywności ludzi pracy, na zespolenie mas ludowych. Rozwój prawdziwej demokracji nie tylko nie osłabia socjalizmu, ale stale pomnaża jego siłę.

Wszystkim, czym możemy, pomagaliśmy socjalistycznej Polsce. I będziemy pomagać. To nie są tylko słowa.”

Moskwa, 1 marca 1982
przemówienie z okazji pobytu w ZSRR partyjno-państwowej delegacji PRL

Porozumienie w zasięgu ręki

9 listopada wznowiono w Madrycie spotkanie sygnatariuszy Aktu Końcowego KBWE. Moskiewska „Prawda” przypominała w przeddzień, w komentarzu redakcyjnym: „Związek Radziecki i inne kraje socjalistyczne cierpliwie zdążyły do tego, aby spotkanie wniosło swój pozytywny wkład w sprawę zmniejszenia zagrożenia wojennego, w rozwój wzajemnie korzystnych, równoprawnych stosunków między krajami. Konstruktynne stanowisko zajęły kraje neutralne i niezaangażowane Europy.”

Jednakże w Madrycie ujawniła się również inna linia. Najbardziej reakcyjne koła imperialistyczne, biorąc kurs na wyścig zbrojeń i konfrontację, starały się wykorzystać spotkanie dla celów sprzecznego z jego mandatem, dla blokowania odprężenia.

Organ KC KPZR stwierdza dalej: „kontynuując działalność i te siły, które chciałyby wykorzystać spotkanie madryckie do charakterystycznej dla ćwieców propagandowych, a nawet jako oręż w wojnie psychologicznej”.

Wznowione po siedmiomiesięcznej przerwie spotkanie przedstawicieli 35 państw KBWE, zaczęło się jednak w rzeczowej atmosferze. Mimo kontrowersyjnych wystąpień niektórych zachodnich delegacji, debata była nacechowana wolą kontynuowania procesu odprężeniowego i urzeczowienia dyskusji na temat Dokumentu Końcowego i podstawowych kwestii bezpieczeństwa i rozbrojenia w Europie. Była to głównie zasługa wystąpień przedstawicieli Polski, NRD i Węgier. Poparli oni m. in. przyjęcie projektu państw neutralnych i niezaangażowanych. „Porozumienie jest w zasięgu ręki” oświadczył przedstawiciel Polski, wiceminister Spraw Zagranicznych JOZEF WIEJACZ.

W przemówieniach przedstawicieli Danii, Norwegii, Włoch, Irlandii, Francji i Szwecji zabrzmiły jednak także nuty, przewidziane w komentarzu „Prawdy”. Reprezentant Danii w imieniu EWG i NATO zaproponował wniesienie szesnastu poprawek, których sens „prowadza się do zalegalizowania różnych form działalności opozycyjnej w państwach socjalistycznych pod płaszczykiem realizacji porozumień z Helsinek. Były też zachodnie głosy na temat sytuacji w Polsce, poruszające w sposób tendencyjny i wypaczony sprawy naszego kraju.

Pryncypialnie i zdecydowanie polemizował z tymi wypowiedziami przewodniczący delegacji polskiej.

Bardzo pozytywnie przyjęto w Madrycie wiadomości o spotkaniu gen. Jaruzelskiego z prymasem Glempem i ogłoszenie terminu wizyty papieża w Polsce. Wiadomości te — można powiedzieć bez przesady — pokrzyżowały scenariusze niektórych wystąpień delegacji zachodnich, które zamierzały nawoływać rząd i Kościół do... wznowienia dialogu.

Wiceminister Spraw Zagranicznych ZSRR ANATOLIJ KOWALOW przypomniał w swym wystąpieniu, że pozytywnymi rezultatami spotkania madryckiego zainteresowane są wszystkie państwa i dlatego wszyscy uczestnicy procesu KBWE winni przyczynić się do osiągnięcia porozumienia. Min. Kowalow wypowiedział się przeciw propagandowej deformacji dyskusji i za szukaniem zrównoważonego porozumienia.

Bardzo charakterystyczne jest milczenie delegata USA. W kuluarach spekuluje się, że ma to związek z oświadczeniem Reagana o wycofaniu się z restrykcji dotyczących dostaw na budowę gazociągu syberyjskiego, za co kraje dziewiętna „odwdzięczają” się Stanom Zjednoczonym poparciem dla tzw. „poprawek duńskich”.

Piątkowa sesja spotkania madryckiego była w znacznej części poświęcona osobie i roli w polityce odprężenia zmarłego sekretarza generalnego KC KPZR, przywódcy państwa i narodu radzieckiego, LEONIDA BREŻNIEWA.

TAK SĄDZĘ

Do tej samej rzeki dwa razy wejść nie można

Nie zawsze potrafimy zmówić sobie, że powszechne, obiegowe prawdy sprawdzają się w praktyce niemal codziennie. Na przykład choćby i to, że nie można dwa razy wejść do tej samej rzeki. Ma ona ilustrować niepodważalny fakt ciągłości przemian, rozwoju. Dowodzić, że dziś jesteśmy bogatsi o pewne doświadczenia z wczoraj, a jutro będziemy bogatsi o doświadczenia z dziś. Rzecz tylko w tym, aby umieć te doświadczenia w porę dostrzec i wyciągnąć z nich właściwe wnioski. Jak choćby i ten, że do przeszłości cofnąć już się nie da. Nasze życie staje się bogatsze o doświadczenia przeszłości, ale już do niej nie powraca.

Wszyscy byliśmy niespokojni o to, co wydarzy się 10 listopada 1982 roku. Podziemie wzywało do strajków, demonstracji. Realistyczna ocena rzeczywistości nakazywała powstrzymać się od strajków i demonstracji. Ale oczekując na to, co się wydarzy można było przypomnieć sobie kolejną podstawową prawdę, że politycy rzucają hasła, budują programy, agituja za ich przyjęciem, ale o wszystkim decydują tylko i wyłącznie masy, ludzie, a w tym konkretnym przypadku klasa robotnicza. Nie podjęła ona hasła rzucanych przez podziemie. Nie podjęła w swojej przeważającej większości.

„Rocznik statystyczny 1982” podaje, że w Polsce mamy obecnie 218,7 tysięcy zakładów przemysłowych, a przedsiębiorstw przemysłowych — 5210. I oto tylko w 28 przedsiębiorstwach doszło do prób podjęcia częściowych strajków. Przy czym nie doszło do takich prób ani w jednym wielkim, liczącym się w kraju przedsiębiorstwie. To już coś znaczy. A przede wszystkim dowodzi, że Polska z listopada 1982 roku nie jest już Polską z listopada 1981 roku, ani Polską z sierpnia 1982 roku. Opozycja polityczna, podziemie polityczne powoli, ale systematycznie traci oparcie wśród robotników, ludzi pracy. Z tego

jeszcze wcale nie wynika, że większość ludzi w Polsce zaczęła myśleć już realistycznie, że przyjęła za swoje hasła, z jakimi występuje rząd, przedstawiciele różnych ugrupowań wchodzących w skład władzy.

Nie mam zamiaru namawiać nikogo do bezkrytycznego przyjmowania tego, co robi władza, co robi rząd, administracja państwowa. O sprawności naszej administracji państwowej, szeroko rozumianej, mamy powszechne i dokładne mniemanie. Nie jest to dla niej pozytywne. Rząd nie posiada jeszcze pełnego zaufania rządzących. I to również nie jest tajemnicą dla nikogo. Nim to zaufanie pozyska musi zacząć normalnie funkcjonować system kontroli społecznej, konsultacji. Kontroli społecznej nad wszystkimi instancjami władzy, dokonanych przez ich organa wybieralne. Konsultacji między organami rządu a zespolami rządzącymi. System taki, choć formalnie zarysowany, faktycznie sprawnie jeszcze nie funkcjonuje. Sporo tu do zrobienia, choćby tylko w dziedzinie organów przedstawicielskich, jakimi są przecież rady narodowe.

Nie namawiam więc do bezkrytycznego przyjmowania wszystkiego, ale przecież nie można nie dostrzegać dobrej woli rządu. Mimo zażść i incydentów ulicznych w Warszawie, Wrocławiu, Nowej Hucie i Łodzi, mimo różnych demonstracji na niektórych wyższych uczelniach, a także w kilku szkołach średnich, rząd konsekwentnie trzyma się zarysowanej przez gen. Wojciecha Jaruzelskiego polityki. Jest to polityka reform, polityka porządkowania naszego życia politycznego i społecznego, odzyskiwania zaufania ludzi pracy. Jest to też polityka łagodzenia i znoszenia uciążliwości stanu wojennego aż do całkowitego jego odwołania.

Spotkanie M. F. Rakowskiego z autorami listów do rządu, wizyty gen. Wojciecha Jaruzelskiego w Zakładach im. Róży Luksemburg w Warszawie i

następnego dnia w Krakowie, a tam w Hucie im. Włodzimierza Lenina, zwolnienie wreszcie kaprala Lecha Waleśy, są to wszystko posunięcia wynikające z konsekwentnego realizowania wspomnianej polityki, będące rezultatem poszukiwania porozumienia rządzących z rządzonymi, władzy ze społeczeństwem.

Ludzie wprawdzie bardzo różnie i często sprzecznie komentują niektóre fakty, a skrajnie — bywają niekiedy tak absurdalne, że wios się na głowie języ. Jakos droga do widzenia prostych zależności przyczynowo-skutkowych okazuje się najtrudniejsza i najdłuższa. Dlatego przypominałem na początku o prostej i podstawowej prawdzie, że dwa razy do tej samej rzeki wejść nie można, jak nie można cofnąć się do przeszłości. Im więcej ludzi to sobie dokładnie uświadomi, im więcej ludzi postara się zrozumieć, że Polska po zniesieniu stanu wojennego — niezależnie od tego kiedy to nastąpi — będzie inną Polską, a nie taką, jaką była przed 13 grudnia 1981 roku, tym łatwiej będzie można porozumieć się co do sposobu rozwiązywania wielu spraw. Nad tym powinniśmy dokładnie zastanowić się zarówno ci, którzy tak bardzo chcą już zniesienia stanu wojennego, bo myślą, że wszystko wróci do dawnego, jak i ci, którzy woliliby, aby stan wojenny potrwiał jeszcze długo, bo to im ułatwia życie. Obojętne wydaje mi się, że jedni i drudzy nie biorą pod uwagę zmian, tak ilościowych, jak i jakościowych, jakie dokonują się obecnie w naszym życiu społecznym i politycznym. A to nie ma nic wspólnego z realizmem, do którego tak usilnie namawiam.

Wiem, że najtrudniej jest przewidywać w polityce. Jak się meteorolog pomyli, a my mu wierzymy, to najwyższe zmokniemy na nieprzewidywanym deszczu. Jak pomyli się polityk w swoich prognozach, skutki tego może boleśnie odczuć spora część społeczeństwa. Ale mimo tego, trzeba śmiało patrzeć w przyszłość polityczną naszego kraju i starać się ją przewidywać. Oby realistycznie i oby optymistycznie, i oby to się sprawdzało. Cel mamy bowiem tylko jeden: porozumieć się w sprawie skutecznego przezwyciężenia kryzysu.

LUCJUSZ
WŁODKOWSKI

W prenumeracie „Odgłosy” za 15 zł

Prenumerując „Odgłosy” na rok 1983 wpłacać:

kwartalnie — 195 zł
półrocznie — 390 zł
rocznie — 780 zł

Warunki prenumeraty

Dla osób prywatnych:
— osoby prywatne mieszkające na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch”

Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli.

— osoby zamieszkałe w miastach — siedzibach oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych przy użyciu blankietu wpłaty na rachunek bankowy: Przedsiębiorstwo Upowszechniania Prasy i Książki w Łodzi, ul. Kopernika 53, IBP I OM Łódź, 47018-1603 indeks 36762.

Mieszkańcy Łodzi zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych Łódź 6, 7, 12, 14 (Oddział Południe) na konto 47018-1599 I OM lub Łódź 1, 2 (Oddział Śródmieście) 47018-1573 I OM, lub Łódź 11, 52 (Oddział Północ) 47018-1586 I OM, podając zawsze numer indeksu — 36762.

Dla instytucji i zakładów pracy:

— instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach.

— instytucje zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli.

Prenumeratę należy zamawiać w terminie do 25 listopada br.

1

Trwa kampania sprawozdawcza w PZPR. Stan zaawansowania po upływie półtora miesiąca od jej rozpoczęcia jest zróżnicowany. Są takie województwa i środowiska, gdzie na szczelnie podstawowych organizacjach partyjnych zebrań sprawozdawczo-programowe odbyły się już kilkanaście razy. W innych osiągnęły one ledwo półmetek. Są także i takie, w których zebrań jak dotąd odbyły się w niewielu podstawowych ogniwach, gdzie były wielokrotnie odkładane. Tak dzieje się tam, gdzie nie ma pewności tego, czy na zebraniach przyjdą wszyscy, gdzie mnożą się trudności z ich należytym przygotowaniem, gdzie mówiąc bez ogródek — partia wciąż jeszcze jest słaba, a jej podstawowe ognia mało zdyscyplinowane, mało aktywne.

Pisałem nie tak dawno w „Odgłosach” o moim zdaniem słabej kondycji ideowo-politycznej kolektyw partyjnych w szeroko rozumianym środowisku kultury. O tym, że nie był to osąd na tzw. nosa, przekonały mnie dwa fakty. Po pierwsze — ręką jak dotąd, nie podjął ze mną polemiki na ten temat. Milczenie przybiera jako swego rodzaju przyzwolenie, jako akceptację takiej właśnie opinii o tym środowisku, jako przyznanie mi racji. Po drugie — obecność na kilku zebraniach sprawozdawczych w tym środowisku nie tylko upewniła mnie w przekonaniu, że tak (czyli delikatnie mówiąc nie najlepiej) jest faktycznie, ale nawet dostarczyła mi wielu nowych argumentów na poparcie moich wcześniejszych tez. Przyznam się jednak, że bez satysfakcji piszę o swojej racji. Osobiście wolałbym się mylić, tak jednak nie jest.

2

Zabierając głos w dyskusji na zebraniu POP literatów, pozwoliłem sobie zwrócić uwagę na fakt, jak obiektywnie (to środowisko zdystansowało się w stosunku do głównego nurtu życia społeczno-politycznego. Bowiem moim zdaniem niewiele zmienia istotę tego społecznego negatywnego zjawiska akcesu wielu literatów do PRON. To są dwie różne sprawy. A przy tym sądzę, że PRON, to dla niektórych ruch, w którym warto się pokazać. Jednakże faktyczne uczestnictwo na rzecz budowy porozumienia narodowego, to chyba coś więcej, niż formalne deklarowanie chęci. Ponadto, aby namawiać do zgody innych, cały naród, potrzeba najpierw samemu, na swoim podwórku zrobić wszystko, by tę zgodę osiągnąć. Tymczasem ZLP jest jednym z trzech stowarzyszeń twórczych, które nie zostały jeszcze „odwieszono”. Pomimo tej brutalnej wymowy faktów nie dostrzegam widomych efektów poszukiwań czynionych w tym środowisku dla odnalezienia się w zawiłościach skomplikowanej sytuacji społecznej, politycznej i moralnej narodu.

Uprowadzając uwagę polemistów przynajmniej do niefaktyczności istnienia i działania związku decyduje o miejscu i roli pisarzy w społeczeństwie. Choć przecież tradycje postępowe, demokratyczne i dorobek społeczny ZLP, kwestionować byłoby trudno. Już chociażby to jest dostatecznym powodem, aby z rozwagą i cierpliwością rozpatrzyć wszystkie propozycje zmierzające do rozwikłania impasu wokół przyszłości ZLP. Ale o społecznym autorytecie pisarza, o pozycji oraz randze, uznaniu współczesnej literatury decydują i decydować będą dzieła, albo skromniej — książki. O twórczości na zebraniu w POP przy ZLP mówiono słownie, a nie faktycznie.

Zaferowani poszukiwaniem sposobów na przetrwanie trudnego okresu zbyt wielu literatów zapomina o swojej tradycyjnej w dziejach polskiego narodu misji literatury. W przeszłości, w czasach o wiele trudniejszych od tych, które przeżywamy, literatura dostarczała narodowi intelektualną, pogłębiała refleksję nad sensem i potrzebą życia w społeczeństwie, życia dla narodu i z narodem. Jakże wielki głód, zapotrzebowanie na taką refleksję, na tego typu literaturę zgłasza dziś młode pokolenie Polaków. Pokolenie to pragnie nie tylko wiedzieć: za ile i kiedy, ale także i po co? Choć znać sens, a nie tylko kształt przyszłości, tej bliższej i tej odległej.

Myślę jednak, że dzieła tej miary i społecznej skali, a zarazem wielkiego, politycznego rezonansu nieprędko mają szansę powstać w atmosferze małutkich polemik, rozpamiętywania zawiązków ambicji, personalnych utarek.

Aby owa dawna, historyczna rola twórców, a zarazem powinność zrodzona z dzisiejszych społecznych oczekiwań stała się faktem, po-



Foto: M. Zajdel

Czekanie na lepsze czasy

KAROL JÓZEF STRYJSKI

trzeba wielkiej siły politycznej i moralnej, indywidualnej potęgi intelektualnej twórców i mozołnie, z uporem cementowanej siły ideowej przebiega, mocnego i politycznie rozsądnego, mądrego głosu środowiska intelektualistów partyjnych. Na nic dziś czekanie na lepsze czasy.

3

Nie chcę przez to, co dotąd napisałem powiedzieć, że we wszystkich działających w kulturze POP jest źle. Byłoby to nie odpowiadające prawdzie, fałszywe uogólnienie. Te dobre kolektywne zapewne pochwała. Instancje. Ja natomiast kreślę te słowa krytyczne nie ze złości woli lub modnego malkontentstwa, ale — wierzę mi kto lub nie — z troski o to, aby i tam, gdzie dziś nie jest najlepiej mogło być dobrze. Bo wierzę w to, że jest to możliwe, jeszcze możliwe!

O tych jednak sprawach rzadko mówi się z należytą głębią i chłodną rozwagą. Wciąż jeszcze tu i tam górze biorą emocje, a czasami paniczna troska o jutro. I to jutro konkretne, materialne. Nie wstydzmy się — to o pieniądze i tzw. środki tu chodzi.

Nie przeczę, że wiele z tych obaw jest w pełni uzasadnionych. Przede wszystkim dotyczy to środków na utrzymanie dotychczasowej bazy kulturalnej w mieście. Trudna sytuacja jest wciąż w teatrach. A tymczasem nie krzepiącego nie wynika z trwającą wciąż dyskusję o przyszłości ekonomicznej tych placówek. Ministerstwo Kultury i Sztuki, to zwiłka z decyzjami, to straszny bez mała katastroficzny widzą, to znów odsyła do władz terenowych. A skoro o władzach terenowych mowa, to zadziwić musi fakt, że od dobrych kilku miesięcy kierownictwo UMŁ nie może znaleźć właściwego kandydata na posadę dyrektora Wydziału Kultury. Cóż, czasy ciężkie i sprawy niełatwe, to i zapewne chętnych brak. Kłania się także w pas polityka kadrowa. Pewnie UMŁ pozostanie przy „pełniącym obowiązki”. Mówią, że prowizorki są najtrudniejsze. To prawda, nie tylko zresztą w kulturze. Bowiem tak naprawdę, to większość ludzi i instytucji w Łodzi żyje z dnia na dzień, w oczekiwaniu lepszych dni.

4

A teraz refleksja innego rodzaju. „kamyczek” z innego podwórka. Nie na wszystkich zebraniach „kamyczek” podniesiono. Na przykład na zebraniu u literatów wspominał o tym jedynie przedstawiciel Wydziału Kultury KC. Zaś na zebraniu w Teatrze im. Jaracza, jeden z doświadczonych, starszych wiekiem towarzyszy, powiedział wprost o tym, iż organizacja

partyjna od dawna nie jest ani realną siłą, ani sprawnym motorem życia politycznego i społecznego w tym środowisku. Nie może też uważać się za autorytatywnego reprezentanta środowiskowych poglądów, postaw oraz ocen odnoszonych do rzeczywistości. Gdzie indziej dopowiedziano mocniej — „nie stanowimy już dziś realnej siły politycznej, nie stanowimy wzorca ideowego dla pozostałych. Miarą naszego autorytetu jest indywidualne uznanie każdego z nas przez kolegów. Jest ona często wysoka. Tylko, że ci koledzy widzą w nas jedynie artystów, współpracowników. A przecież na tymże autorytecie i na naszym zaangażowaniu winien być tworzony autorytet organizacji partyjnej. Niestety, tak się nie dzieje”.

Podobne stwierdzenie słyszałem w organizacjach zakładowych. Pod tym względem środowiska kultury nie stanowią niestety wyjątku. Nie chodzi mi w tym miejscu o jakieś tam pływki, demagogiczne uogólnienia typu, że z autorytetem partii jest źle. Bowiem aż nadto liczne są dowody na to, że partia w zbyt wielu środowiskach, jak to się mówi — jeszcze się nie odnalazła, jeszcze niezbyt mocno stanęła na nogi. Ten proces wymagać będzie wiele czasu, sporo wysiłku, uporu i mądrości.

Najsmutniejszym w tym wszystkim jest chyba to, że praktycznie nigdzie, na żadnym zebraniu nie usłyszałem nie tylko pełnej, ale choć tylko pogłębionej, w miarę satysfakcjonującej, budzącej optymizm odpowiedzi na pytanie — dlaczego tak jest, jak jest?

Licytowano się na ogół w argumentach (słusznych skądinąd) typu, że organizacja partyjna w kulturze stanowią od lat zamknięty krąg ludzi, w których na dodatek ostatnio wiele z partii odeszło. Ze od lat nie wstępowała tam w szeregi PZPR młodzież. Ze problem młodego pokolenia, to w ogóle sprawa osobna (właściwie od lat brak przejawów działalności organizacji młodzieżowej w środowiskach artystycznych). Zaś towarzysze literaci przyznali się samokrytycznie, że współpraca z młodzieżą literacką zorganizowaną w tzw. kole młodych, poważnie kuleje. We wrześniu — musi ulec poprawie, ba, może nawet poważnej zmianie dotychczasowy model pracy partyjnej w tych środowiskach. Przykładowo krytykowano, że zbyt mało przywiązywało się uwagi do systemu przydzielania zadań indywidualnych, etcetera, etcetera.

Konkluzja, która nie zawsze była zgłaszana w dyskusji, a która jednocześnie wynikała z licznych wypowiedzi, to zarazem jeden z poważniejszych mankamentów pracy partyjnej

wśród twórców kultury — bardzo mały, a czasami praktycznie żaden kontakt z organizacjami fabrycznymi, ze środowiskiem robotniczym. Nierzadko do niezbyt udanych zaliczano spotkania działaczy partyjnych kilku instytucji kulturalnych. Nie wypominając już partyjnych mitingów całej łódzkiej kultury. Mimo to jednak w łębach z nadzieją przyjęto propozycję wydziału kultury KŁ PZPR utworzenia w najbliższym czasie środowiskowego komitetu wszystkich łódzkich scen. Myślę, że komitet taki będzie mógł uczynić niemało dla teatrów, wiele na rzecz podniesienia autorytetu partii w tym środowisku, wpłynąć na poprawę stylu pracy politycznej, lecz pod jednym warunkiem. Warunkiem tym będzie świadomość, że autorytet i siła komitetu środowiskowego będzie składową autorytetu i siły poszczególnych ogniw podstawowych. Nie da się, co udo- wodniła niedawna przeszłość, wznosić okaza- lych budowli na lichym fundamencie. Nie będzie to wówczas gmach, a jedynie nietrwała fasada.

5

Kiedy opuszczałem po zakończonym zebraniu towarzyszy z Teatru im. Jaracza odczuwałem coś w rodzaju tzw. mieszane uczucia. Nie poszedłem tam z nadzieją odniesienia satysfakcji, ale też nie przypuszczałem, że znajdzie się w sytuacji proszącego o to, aby ktoś zechciał na jakiś czas zająć się dokumentacją organizacji, bo cała egzekutywa POP ustąpiła, a nową nie wybrano. I nie dlatego, że dokonano uchybień organizacyjnych, ale dlatego, że nikt się nie zgodził kandydować. Wszyscy proponowani odmówili. Dlaczego? Nie czuli się na siłach, skar- żyli się na zmęczenie, nie ukrywali braku wiary, dzielili się wątpliwościami dotyczącymi oceny sytuacji w kraju i w partii... Wystarczy?

Tego typu problemy występują w wielu małych POP prawie wszystkich środowisk kultury i nie tylko kultury. Wcale nie tak lepiej jest dla przykładu w oświacie.

Wspomniałem wcześniej o nadziejach i oczekiwaniach. Na zebraniach, w których uczestniczyłem mogłem się przekonać o tym, jak te nadzieje i oczekiwania są wielkie, jak różnorodne. Tworzą one wciąż niepokój i niepokój, wcale nie skrywana podejrzliwość i nie tak znowu bezasadne wątpliwości. A jednak nadzieje, oczekiwania dominują. Jest tak w środowiskach młodzieżowych, jest wśród robotników i artystów. Czy to już oznaka przemian w poglądach i postawach? To jeszcze trudno powiedzieć. Jest to już jednak na pewno jakaś szansa, szansa konkretna, realna na to, że będzie można rozebrać barykady wzniezione między władzą a społeczeństwem i między poszczególnymi grupami społecznymi.

Pozycja wyciekająca przybrana również przez wielu partyjnych powoduje, że nie chcą oni na te kilka tygodni, które pozostały do końca roku zbytby się angażować. Postawa taka wynika między innymi z tego, iż uważają, że ich wysiłek zadeklarowany po zniesieniu stanu wojennego nabierze jakby innej wartości, większego sensu. Będzie mógł być i przez nich samych i przez środowisko lepiej dyskutowany. A póki co, dalej trwają w oczekiwaniu na owe „światło w tunelu”, na pozycji nieufności i podejrzliwości do wszelkiej władzy, a w tym i do swoich władz partyjnych: tych najbliższych, dzielnicowych oraz łódzkiej instancji. Uważa się, że z tej szamotaniny racji, koncepcji i koncepcyjek jeszcze nie niewy- nika na przyszłość. Myślę, że tego rodzaju krytyka nie pozbawiona jest racji, choć trudno akceptować taką postawę, kiedy prezentują ją członkowie partii. Swoje racje ma także kierownictwo, które jak każda władza oczekuje akceptacji. Oczekuje też dyscypliny w realizacji uchwał, inicjatyw i wartości szeregów.

Szkoda, że i tak, że jak na razie niewiele z tych racji wynika.

Mówią o Łodzi, że to miasto o trudnym klimacie dla kultury. Kto tylko pokaże, że potrafi, wybieje się i zostanie zauważony gdzie indziej, to zaraz z tego miasta ucieka. Najczęściej, bo najbliższe uciekają łódzianie do Warszawy. Ale to nie jest regułą. Myślę, że w powiedzeniu tym, podobnie jak w tzw. mądrości ludowej jest sporo racji, wiele prawdy. Jeśli przyjąć, że w interesie społecznym, w interesie miasta, owe ucieczki nie są zjawiskiem korzystnym, że trzeba temu mądrze przeciwdziałać, to należałoby wreszcie w zawiązującym się na nowo dialogu społecznym i o tych racjach i tych prawdach zacząć mówić głośno, no i bez ogródek. Inaczej, to Łódź pozostanie wciąż miastem z epoki „ziemi obiecanej”, miastem nieziszczalnych albo zaprzeczanych nadziei.

Nauki polityczne, a potrzeby praktyki

WOJCIECH GRABINSKI

Książka Jerzego J. Wiatra (stanowi zbiór artykułów i referatów pisanych w latach 76-79) ukazuje się w okresie, gdy nauki społeczne, a w tym i polityczne, stały się obiektem krytyki. Główne zarzuty (z całego katalogu) to „niedowład poznawczy”, „płaski empiryzm”, ułotnienie funkcji poznawczej i ideologicznej, przyznanie, że po takie zjawiska jak „dworskość” i nieodpowiedzialne postawy polityczne jej przedstawiciel.

Z powodu zasadniczej roli jaką nauki społeczne winny odgrywać w procesie przeobrażeń społecznych, większość zarzutów koncentruje się nasty-

ku nauka — praktyka polityczna.

Jak w tym kontekście sytuuje się pozycja nauk politycznych? Według prof. Wiatra na tym właśnie ma polegać słabość polskich nauk politycznych, by tacyżby obiektywizm poznania naukowego, z ideowym zaangażowaniem i orientacją na praktykę.

Na czym polega praktyczna rola nauk politycznych, pisał autor w I rozdziale pt. „Nauki polityczne, a praktyka polityczna budownictwa socjalistycznego w PRL”. Polega ona po pierwsze, na kształtowaniu świadomości politycznej i kultury politycznej narodu; po

drugie — na dostarczaniu siłom kierującym świadomym przeobrażeniem społeczeństwa, naukowemu ugruntowanej wiedzy o dokonujących się procesach, a więc m.in. „analizowanie w porę konfliktów społecznych i politycznych, które rodzą się na tle osiągnięcia przez społeczeństwo fazy rozwoju wymagającej wprowadzenia głęboko sięgających zmian w funkcjonowaniu instytucji ekonomicznych i politycznych”.

Praktyczna rola nauk politycznych polega także na dostarczaniu propozycji zmian, które winny być realizowane. Jedyne propozycje rozwiązań, ponieważ konstruowanie programu jest wynikiem szerszego procesu społecznego i politycznego, rezultatem przemysłów zbiorowych pod przewodnictwem partii. Nauka sama nie jest w stanie programu działania stworzyć, a „tendencje do traktowania nauk politycznych czy nauk społecznych w ogóle, jakby to były instancje kierujące procesem przeobrażeń społecznych trzeba uznać za naturalne i niepowtarzalne”.

Myślą przewodnią pracy J. Wiatra jest teza o potrzebie zreformowania polskiego systemu politycznego tak, by odpowiadał możliwościom i potrzebom społeczeństwa. Taka

też jest konkluzja najobszerniejszego w książce opracowania pt. „Problematyka zaspokajania potrzeb ludności, a funkcjonowanie polskiego systemu politycznego”, (opracowanie powstałe w 1978 r.). Tekst ten jest istotny nie tylko dlatego, iż zawiera propozycje zmian zbliżonych z aktualnie dokonującymi się (m.in. reforma gospodarcza), ale i dlatego, że zawiera treści będące obecnie przedmiotem szerokiej społecznej dyskusji.

Autor analizuje polski system polityczny z punktu widzenia jego efektywności, tj. skutków, jakie niesie jego funkcjonowanie dla zaspokajania szeroko pojętych potrzeb materialnych i niematerialnych społeczeństwa. Oczywiście z założenia jest to zadanie niełatwe, bowiem trudno jest ustalić wpływ systemu politycznego jako takiego na wydzieloną sferę życia publicznego. Ponadto to, co nazywamy działaniem systemu politycznego, jest wypadkową działań poszczególnych ludzi i grup ludzkich, które przeważa i określa efekty końcowe.

Cechą charakterystyczną systemów socjalistycznych — pisze J. Wiatr — jest przyjmowanie przez nie bardzo daleko posuniętej odpowiedzial-

ności za zaspokajanie potrzeb ludności. Państwo socjalistyczne w odróżnieniu od państw kapitalistycznych (choć i między nimi istnieją ogromne różnice), przyjęło na siebie odpowiedzialność za to, by jego obywatela mogli coraz pełniej zaspokajać swe różnorodne materialne i niematerialne potrzeby.

W płaszczyźnie doktrynalnej zobowiązanie to zostało sformułowane w 1952 roku w pracy J. Stalina pt. „Ekonomiczne problemy socjalizmu w ZSRR” (jako „zaspokajanie stałe rosnących potrzeb”) i określone jako cel formacji socjalistycznej, jako podstawowe prawo ekonomiczne socjalizmu. Miało to doniosłe konsekwencje polityczne i ideologiczne, ponieważ problem konsumpcji został podniesiony do rangi kryterium oceny efektywności systemu politycznego.

J. Wiatr wyróżnia trzy aspekty zobowiązań państwa w tym zakresie:

— Aspekt ilościowy — czyli zobowiązanie państwa do prowadzenia takiej polityki społeczno-gospodarczej, by potrzeby mogły być zaspokajane dzięki coraz większej podaży dóbr i usług.

— Aspekt jakościowy — zobowiązanie państwa do oddzia-

ływania na kształtowanie się pożądanego modelu zaspokajania potrzeb, który „winien odzwierciedlać aksjologiczne założenia socjalizmu, tj. wyniki z określonych wyborów o pożądanych cechach osobowości człowieka socjalizmu”. Realizacji tego modelu służyć może praca wychowawcza, „preferująca pewne, a zwalczająca inne zachowania konsumpcyjne”, a po drugie — odpowiednia polityka ekonomiczna posługująca się m.in. systemem cen.

— Aspekt dystrybucyjny — a więc przyjęcie przez państwo zobowiązania do realizacji zasad sprawiedliwości społecznej. Ten aspekt jest najbardziej dyskusyjny, ponieważ wiąże się z różnym pojmowaniem na czym polega sprawiedliwość społeczna. Często utożsamia się pojęcie nierówności społecznej tj. „takiej różnicy, która wyraża się w nierównym dostępie do jakiegoś wspólnie pożądanego dobra” i pojęciem niesprawiedliwości społecznej, czyli takiej nierówności, „która jest niezgodna z przyjętym przez ocenającego założeniem aksjologicznym”.

Dokończenie na stronie 6

Nasz czas przeszły

KONIECZNOŚĆ CHŁODNEJ REFLEKSJI

W ydarzenia ostatnich 24 miesięcy, tak brzemienne w skutki dla kraju i dla każdego Polaka, zanim znajdą w miarę pełne odbicie na kartach rozpraw ekonomicznych i socjologów, politologów i historyków, zanim z dystansu zostaną ocenione i zanalizowane, budzą wciąż żywe emocje, są tematem licznych dyskusji, polemik, rozmaitych poglądów i opinii. Dziś, gdy jesteśmy bogatsi o trudne i jakże surowe doświadczenia, warto pamiętać o początkach tego, co w publicystycznym skrócie myślowym, przyjętym w potocznej świadomości Polaków, zostało nazwane procesem odnowy. Podjął próbę spojrzenia bez gniewu, a dla nauki na to, jak w sierpniu 1980 r. proces ten rozpoczął się poprzez skumulowanie społecznego niezadowolenia i protestu.

Sądźmy, że jest to konieczne i z tej przyczyny, że wydarzenia sierpniowe niemal natychmiast obrosły mitologią i nie brakuje dziś prób wpisywania w tamte sprawy problemów wtedy nie istniejących, ale również i pomniejszania lub niedostrzegania faktów, które wpływały na przebieg wydarzeń. Zmitologizowaniu Sierpnia służyły filmy „Człowiek z żelaza” i „Robotnicy 80”, liczne teksty publicystyczne, tworzone pod wpływem chwili, często na doraźne zamówienie i ex post dopisujące treści, które w sierpniu bynajmniej nie były powszechne, albo których w ogóle nie było.

Nim nadejdzie czas sformułowania rzeczowe udokumentowanych syntez warto zatem pokusić się o spokojne i w miarę możliwości zobiektywizowane spojrzenie na poglądy, postawy i zachowania pracowników przedsiębiorstw, których załogi zdecydowały się strajkować owego pamiętnego lata 1980 roku. Efekt tego oglądu w dość istotny sposób może różnić się od patosu emocjonalnych wypowiedzi opartych na wiedzy cząstkowej i Wawłokowskim „chcicieście”. Po prostu proza życia czasem nie chce lub nie może nadążyć za rozwichrzeniem słów skażonych właśnie owym „chwileństwem” i nie liczeniem się z faktami. Bez zdania sobie z tego sprawy rozumienie procesu zapoczątkowanego w Sierpniu może okazać się nader trudne lub wręcz niemożliwe.

Warto wrócić pamiętać, że jakkolwiek robotnicy łódzcy nie odegrali pierwszoplanowej roli w wydarzeniach sierpniowych, to przecież ich udział w masowych akcjach protestacyjnych był znaczący, a gromadzenie niezadowolenia bynajmniej nie mniejsze niż na Wybrzeżu, czy na Śląsku. Można powiedzieć, że Sierpień miał rozmaite oblicza, a wydarzenia nie tylko różną skalę, ale i różną specyfikę. Właśnie łódzkiemu obliczu tamtych sierpniowych dni poświęcamy poniżej rozważania.

Myśl, aby opisać przebieg i atmosferę strajków, a więc wydarzeń będących szczególnie interesującym polem badawczym dla socjologa, dającym możliwość penetracji in vivo narastania i wyzwalania się reakcji społecznych, badania ich przebiegu oraz świadomości uczestniczących w nich ludzi, powstała 28 sierpnia 1980 roku. Wtedy to w Łodzi przestała funkcjonować komunikacja miejska, przerwały pracę załogi różnych łódzkich przedsiębiorstw i wiadomo już było, że wielki strajk powszechny ze stoczni Wybrzeża rozszerza się na cały kraj. Zdaliliśmy sobie sprawę, że jako socjologowie powinniśmy natychmiast podjąć próbę zbadania nowej sytuacji społecznej. Nie było czasu na przygotowanie koncepcji, hipotez, wybór i udoskonalenie narzędzi badawczych. Poza tym łatwiej było zaprojektować badania, niż je zrealizować, bowiem spotkaliśmy się z obawami, że możemy stać się doradcami strajkujących albo że rozmowy z robotnikami na temat strajku mogą prowokować ich do dalszych wystąpień.

Dopiero w pierwszej dekadzie września uzyskaliśmy zezwolenie na wejście do interesujących nas zakładów, prowadzenie wywiadów i tak powstał rezultat naszych badań — opis dwóch strajków różniących się przebiegiem, czasem trwania, organizacją, celami, jakimi przed sobą stawiali strajkujący robotnicy. Sądźmy, że dla zrozumienia wydarzeń i atmosfery łódzkiego lata 1980 r. nasze uwagi i spostrzeżenia mogą okazać się użyteczne.

STRAJK STRAJKOWY NIERÓWNY

Zasieg i masowość strajków w lecie 1980 r. spowodowały konieczność podjęcia ich analizy jako społecznych ruchów masowych oraz rozważenia uwarunkowań, różnic i specyfiki poszczególnych przerw w pracy. Na podkreślenie zasługuje fakt, że w potocznej świadomości społecznej strajk był pojęciem nie istniejącym, w myśli założenia, że w ustroju socjalistycznym taka forma wyrażania protestu robotniczego nie może istnieć. Zapewne też dlatego nie dokonywano, a przynajmniej nie publikowano opisów i analiz strajków, aby nie upożytkować literatury „instruktażowej” na ten temat.

Taki swoisty zabieg magiczny — o czym się nie mówi i nie pisze, tego nie ma — spowodował w konsekwencji, że tysiące ludzi zaczęły upatrywać w tym oficjalnie nie istniejącym sposobie wyrażania żądań i postulatów robotniczych lekarstwo na wszelkie dolegliwości społeczne. Koniec roku 1980 i niemal cały rok 1981 pokazywały, że był to środek zabójczy dla gospodarki państwa i ładu w społeczeństwie, ale do takiej świadomości dochodzić trzeba było w paroksyzmach strajkowych.

Być może wcześniejsza znajomość mechanizmów rodzenia się strajku, jego przebiegu, możliwych zachowań się strajkujących, a także metod negocjacyjnych spowodowałyby, że administracja zakładów pracy, a także władze polityczne i państwowe nie byłyby zakłopotane niespodziewanym pojawieniem się strajku oraz nie musiałyby dopiero w czasie jego trwania uczyć się postępowania w nowej sytuacji. Inaczej mówiąc uważamy, że wiedza o tego rodzaju zachowaniach społecznych jak strajki nie może być wiedzą tajemną, a ich opis i dokładna analiza powinny między innymi służyć właśnie zapobieganiu ich rodzeniu do strajku.

Na podstawie własnych obserwacji rozmaitych strajków, jakie miały miejsce w Łodzi w 1980 i 1981 r. dokonaliśmy ich podziału na spontaniczne, solidarnościowe i opozycyjne. Szerzej na ten temat piszemy w książce „Czarna księga łódzkich miasteczek” złożonej do druku w Wydawnictwie Łódzkiemu. W tym miejscu podzielił ten pragnienie opatrzyć niezbędnymi wyjaśnieniami.

Strajki spontaniczne o charakterze socjalnym dotyczą spraw bytowych (zaopatrzenie w żywność, wyrównanie kosztów utrzymania itp.) i organizacji pracy rzutującej na poziom zarobków. Zwykle są krótkotrwałe, inicjowane przez grupy pracowników zakładu podejmującego strajk i nie mają bezpośredniego związku ze strajkami w innych zakładach. W przeważającej części przypadków strajki spontaniczne raczej nie ograniczają całego zakładu, pulsują, przenoszą się z wydziału na wydział produkcyjny strajkujący podejmujący pracę, przerywając, znowu podejmując. Zdarzają się przypadki okupowania fabryk, ale częściej strajkujący po ośmiu lub szesnastu godzinach wychodzą poza teren zakładu.

Istotną cechą tych strajków jest brak żądań i postulatów o charakterze politycznym oraz względna łatwość osiągnięcia porozumienia. Strajk spontaniczny jest wynikiem nagromadzonej pretensji w kwestiach organizacji pracy, stosunków społecznych w fabryce, warunków życia, zarobków i innych nie zaspokojonych potrzeb strajkujących.

W Łodzi strajki takie wystąpiły w pierwszej połowie sierpnia 1980 r. a ich przykładem jest opisany przez nas strajk w Fabryce Igiel i Części do Maszyn Dzielarskich „Famid”.

Strajk solidarnościowy łączy wiele podobieństw ze strajkiem spontanicznym, przede wszystkim fakt że u tego podłoża tkwi niezadowolenie robotników z warunków pracy i życia. Nowym, a zarazem podstawowym elementem tego rodzaju strajku jest świadomość wspólnego działania z załogami innych zakładów, poczucie więzi i solidarności klasowej.

Wydarzenia z Sierpnia 1980 roku należą już do historii. Wprawdzie jeszcze do końca nie wygasły emocje, ale można dziś spojrzeć na ten fragment naszego czasu przeszłego z pewną dozą naukowego obiektywizmu. Dlatego właśnie zdecydowaliśmy się opublikować

w dwóch fragmentach szkic socjologiczny, oparty na badaniach i dokumentach, a ukazujący działanie różnych mechanizmów społecznych i politycznych, bez poznania których zrozumienie przeszłości będzie zawsze niepełne.

Następuje formalne lub nieformalne uznanie głównej roli centrum strajkowego (w sierpniu 1980 r. takim centrum były międzyzakładowe komitety strajkowe w Gdańsku i Szczecinie) i podporządkowanie się rozwojowi sytuacji właśnie w takim centrum. W związku z tym izolowanie strajku solidarnościowego i jego zakończenie jest bardzo trudne.

Godny uwagi jest także fakt, że z chwilą wyzwolenia się świadomego poczucia solidarności z szerszą zbiorowością, dość łatwo strajkujący przyjmują za własne postulaty i żądania, zwykle o charakterze politycznym, których sami wcześniej nie artykułowali, ale które zostały sprecyzowane w centrum, będącym osiłą solidaryzowania się strajkujących.

Charakter solidarnościowy miały łódzkie strajki w trzeciej dekadzie sierpnia 1980 r., a jako ich przykład przedstawiamy strajk w Zakładach Przemysłu Bawełnianego im. Juliana Marchlewskiego.

Strajk opozycyjny o charakterze politycznym, instrumentalnym, wyodrębniamy z uwagi na fakt, że w jego organizacji, artykulacji postulatów i przebiegu poważną, jeśli nie decydującą rolę odgrywały osoby lub grupy osób należące do zorganizowanych kręgów opozycji politycznej. Wpływ takich grup może przejawiać się już w socjalnych strajkach spontanicznych, a jeszcze bardziej w strajkach solidarnościowych.

STEFANIA DZIĘCIELSKA-MACHNIKOWSKA GRZEGORZ MATUSZAK

Łódzki Sierpień 1980

Strajk opozycyjny ma przede wszystkim cele polityczne i chociaż wśród żądań występują także problemy społeczne, to przecież służy on realizacji interesów politycznych i wywieraniu presji na władzę. Specyficzną cechą tego rodzaju strajku, niezależnie od czasu trwania i przebiegu jest jego instrumentalność — strajkujący świadomie lub nieświadomie wykonują zadania przeznaczone im przez organizatorów, którzy zwykle znajdują się poza fabryką i tworzą sztab kierujący akcją.

Strajki takie w Łodzi rozpoczęły się we wrześniu 1980 r., a jako przykład można wskazać analizowany przez nas strajk w Zakładach Przemysłu Bawełnianego im. Stanisława Kunickiego, trwający od 8 do 12 września. Był to, naszym zdaniem, strajk zaplanowany i zorganizowany poza zakładem, a z jego przebiegu wyraźnie wynika, że posłużył do „podgrzania” atmosfery niezadowolenia wśród robotników oraz zdobycia wpływu w zakładzie przez ludzi związanych z kręgami opozycji politycznej. Załoga „Kunickiego” stała się w ten sposób nieświadomym instrumentem wywierania nacisku na władzę i wymuszania na niej ustępstw.

Ten ostatni rodzaj strajku stał się nadużywaną formą prowadzenia walki politycznej, jaka rozpoczęła się po sierpniu 1980 r., walki, której areną stała się gospodarka narodowa.

STRAJK SPONTANICZNY

Lato 1980 r. było wyjątkowo chłodne i deszczowe, w wielu regionach kraju wystąpiły powodzie. W lipcu zaczęły rozednieć się drogi nieoficjalne, przekazywane z ust do ust, wiadomości o strajku w Ursusie, Fabryce Samochodów Ciężarowych w Lublinie, strajku lubelskich kolejarzy.

Głównym tematem rozmów mieszkańców Łodzi był w tym czasie problem komercyjnych cen na mięso i jego przetwory, pustki w sklepach mięsnych i kolejki czekających na dostawy oraz pogłoski o podwyżce cen na kasze, makę, cukier, ryż. Mimo, że artykuły te były w dostatecznej ilości w sklepach, z wolna rozpoczął się ich wzmógłony wykup, głównie na obrzeżach miasta.

W pierwszej dekadzie sierpnia w łódzkich zakładach, przede wszystkim przemysłu lekkiego, rozpoczęły się przerwy w pracy, trwające po kilka godzin, w których uczestniczyły grupy od kilkudziesięciu do kilkuset robotników. Strajki te pulsowały, to znaczy grupy strajkujące przerywały pracę, podejmowały, znowu przerywały, wysuwane były różne żądania, przede wszystkim dotyczące zarobków.

Obowiązującą metodą wygłaszania strajków w tym czasie były obojętne podwyżki, zwykle po ok. 400 zł, czynione przez przedstawicieli zjednoczeń i ministerstw. Spełnianie placowych żądań, aby za wszelką cenę uniknąć strajków, powodowało upowszechnienie się przekonania, że „opłaca się przerwać pracę, bo wtedy znajdują się pieniądze na podwyżki, a normalnie to nie da ludziom nic”. W zakładach wtedy właśnie zaczęto robić karierę porządku, szczególnie popularne we wrześniu — „kto nie staje nie dostaje”.

Konsekwentnie nie używano słowa „strajk”, a jedynie określenia „przerwa w pracy” lub „postój”. Dopiero 15 sierpnia 1980 r. prasa łódzka doniosła o „zakłóceniach w rytmie pracy” i że „w niektórych zakładach i przedsiębiorstwach mają miejsce przerwy w pracy, w czasie których wysuwane są postulaty placowe, a także dotyczące norm i organizacji pracy oraz zaopatrzenia” („Dziennik Popularny”).

W Fabryce Igiel i Części do Maszyn Dzielarskich „Famid” niezadowolone załogi narastało od dłuższego czasu z powodu trudności produkcyjnych (braku narzędzi do obróbki materiałów, zużycia maszyn, niewykonywania planów produkcyjnych) nastąpiło wyraźne pogorszenie zarobków i warunków pracy. Narastała także niechęć do kierownictwa zakładu, nie liczyło się z żądaniem pracowników, którzy wielokrotnie zgłaszali wnioski i uwagi co do konieczności zmian. Próby krytyki były eliminowane przez zastraszanie krytykujących, między innymi groźbą zwolnienia. Do niezadowolonych sprawami wewnętrznymi zakładu dołączyły się również przyczyny zewnętrzne: wysokie ceny, zaopatrzenie sklepów wydłużające się kolejki.

W piątek, 15 sierpnia 1980 r. najprawdopodobniej w drodze do zakładu i w szatni, grupa robotników, mężczyzn z działu mechanicznego porozumiała się między sobą i około 30 osób nie wzięło pracy. Nie było przywódcy ani grupy kierującej, bowiem jak stwierdzili ci, którzy strajk zainicjowali „jeden na drugiego się oglądał i gdy widział, że kolega maszynę nie włącza to go naśladował”. Spontanicznie rozpoczęty strajk zaczął przenosić się do kolejnych sal produkcyjnych, gdyż robotnicy przechodząc z jednego działu na drugi przekazywali informacje o tym co się dzieje i stwierdzenia „my strajkujemy, a wy?”. Po około trzech godzinach załoga bezpośrednio produkcyjna przerwała pracę. Większość strajkowała po raz pierwszy w życiu. Załoga pracująca na drugiej zmianie, popołudniowej przyłączyła się do strajku, który był już sytuacją zastaną i wymagał solidarności ze współtowarzyszami pracy. Poza tym głównym motywem strajku, o którym mówili nam w wywiadach robotnicy, było zniechęcenie ludzi sytuacją rynkową, kolejkami, strajkami kobiet podkreślały konieczność poprawy zaopatrzenia i podwyżki płac.

W pierwszych godzinach strajku kierownictwo zakładu poleciło mistrzom opanować sytuację („zróbcie coś”), a pozytywne wywiązanie się z zadania miało być elementem weryfikacji średniego nadzoru. Gdy to okazało się nieskuteczne, próby namawiania załogi do podjęcia pracy podjęli dyrektorzy, kierownicy, sekretarze POP, członkowie prezydium rady zakładowej. Tym samym organizacja

partyjna i związkowa stanęły po stronie niepopularnego kierownictwa i w opozycji do ogółu załogi.

Namowy do podjęcia pracy rozdzieliły strajkujących, robotnicę z którymi rozmawialiśmy na ten temat, przytaczają takie na przykład zdania wypowiedziane przez przewodniczącą rady zakładowej, osobę szczególnie nie lubianą wśród załogi: „ta ciemna banda znów strajkuje”, „w pani wieku bierze się pani do strajkowania, a o pracę trudno”. Robotnik o dyrektora, który fakt strajku usiłował obrócić w żart: „gadał pierdoli, nigdy nie umiał rozmawiać z ludźmi i do tej pory nie potrafi”.

Pod koniec pierwszej zmiany mistrzowie i niektórzy robotnicy wybrani przez swoją akłamację („idź ty, bo najlepiej potrafisz gadać i wiesz co gadać”) spisałi postulaty załogi i przekazali je dyrektorowi. Rozmów żadnych nie prowadzono, komitetu strajkowego nie wybrano, nie było nawet takiej propozycji.

Spisane dość chaotycznie, na rozmaitych karteczkach, żądania robotników „Famidu” są ciekawym dokumentem strajku spontanicznego, którym kierownictwo zakładu nadało eufemistyczny tytuł „Wnioski i postulaty wynikające z narad produkcyjnych”. Dotyczy one spraw zaopatrzenia rynku (5 postulatów), zadań placowych (10), socjalnych (6), warunków i organizacji pracy (7) i innych (3). Podkreślić należy, że większość postulatów powinna być załatwiona przez kierownictwo zakładu bez konieczności strajku, gdyż należało one do obowiązków dyrekcji i podległej jej administracji przedsiębiorstwa.

„Famid” pracuje w systemie dwuzmianowym, więc po zakończeniu czasu pracy drugiej zmiany część strajkujących poszła do domów, a część pozostała w zakładzie na noc (w zależności od wydziału od 10 proc. do 80 proc. zatrudnionych). Jedną z robotnic wyjasniła nam, że gdyby zakład został opuszczony, wtedy kierownictwo zakładu mogłoby uznać, że strajk jest przerwany, jednak większość członków załogi nie potrafiła uzasadnić dlaczego zdecydowała się na pozostanie na noc w fabryce. Dyrektor nie przeciwdziałał tej decyzji, polecił jednak sporządzić listę pozostających na noc, motywując to koniecznością wiedzy o tym, kto przebywa w zakładzie i ponoszeniem odpowiedzialności za bezpieczeństwo.

Atmosfera w czasie strajku w zasadzie była spokojna, robotnicy poza pierwszą, początkową fazą, nie kontaktowali się między sobą. Zapanowało jednak powszechne zderzenie, gdy w trzeciej godzinie „przerwy” rozszedła się wśród załogi wieść, że w dziale kadr sprawdza się teściów osobowe. U słów robotników, mających, jak sami stwierdzili, opinię „krytykantów”, z którymi przeprowadziliśmy wywiady, wieczorem, w dniu rozpoczęcia strajku, byli w domach nieznanymi im ludźmi, którzy przedstawili się jako działacze związkowi i grzecznie wypytali się o to, ile czasu będzie trwał strajk, o co chodzi strajkującym, kto może mieć wpływ na jego przebieg i zakończenie. Fakty te wywarły wpływ na nastroje i spowodowały powstanie obaw przed konsekwencjami za udział w strajku.

W drugim dniu, w sobotę 16 sierpnia 1980 r. bardziej aktywne stały się kobiety, które dość lekko i wprost przystępowały do strajku, a teraz zdecydowanie zaczęły domagać się poprawy zaopatrzenia sklepów i podwyższenia zarobków. Były to jednak opinie wygłaszane wyłącznie wśród współtowarzyszek pracy. W zakładzie nadal panował spokój, ludzie siedzieli przy swoich maszynach, z wolna zaczęły ogarniać ich wątpliwości. Nastroj ten najlepiej charakteryzują wypowiedzi strajkujących: „co to będzie z tym wszystkim”, „może się poprawi i będzie można coś kupić”, „to wszystko nie da”, „dyrektor nie da miśa, ale niech posła nasze postulaty, to się dowiedzą, że ludzie są niezadowoleni”. Wiele robotników było gotowych podjąć pracę, jednak „każdy oglądał się na drugiego” i argumentowano „jak zacząć pracę ci, co zaczęli, to ja też”.

W tej sytuacji dyrektor po porozumieniu się ze zjednoczeniem, podjął decyzję o podwyżce płac w ramach posiadanych funduszy po około 300–500 zł na osobę w zależności od stanowiska pracy. Najwięcej otrzymali najmniej zarabiający. Fakt ten, a także wspomniane już obawy przed możliwością renesansu, spowodowały, że strajk zaczął przysychać. Jako pierwsi zdecydowali się podjąć pracę robotnicy z działu mechanicznego, którzy strajk rozpoczęli. Oskarżano ich o zdradę, ale pozostała część załogi, z rozczarowaniem i irytacją stopniowo także podjęła pracę. Około godz. 12, po półtoragodzinnym strajku „Famid” rozpoczął normalną pracę.

Jak już wspomnieliśmy wcześniej, postulaty załogi wynikały z niezadowolenia sytuacją bytową: niskimi zarobkami, trudnościami zaopatrzenia, wzrostem kosztów utrzymania oraz złą organizacją pracy i atmosferą panującą w zakładzie. Zostały one spisane odręcznie, na różnej wielkości kartkach, takich jakie pracownicy mieli w rękach i następnie podpisywane przez strajkujących.

Nie zgłaszano żądań politycznych, a do najbardziej radykalnych należały zaliczyć opinie „do czego dosłyszeliśmy, co to za rząd, który wszystko wysysa za granicę, a w kraju dla ludzi nie ma nic”. Zwracano uwagę na konieczność sprawiedliwych ocen pracowników, aby nie było takich, którzy zawsze są wyróżniani, bowiem mają względy u przełożonych. W jednym z postulatów zgłoszono propozycję rozszerzenia zakresu przyjęć pracowników przez dyrektora w sprawach osobistych i zakładowych.

Piaszczyną integracyjną strajkujących była niechęć do rady zakładowej, o której robotnicy twierdzili wprost, że „dłaba tylko o własne stółki i podlizują się dyrekcji” oraz „trzeba ich wychrzanić, bo laurawka i nie pomagają ludziom”. Padły zarzuty, że dotychczasowi członkowie rady zakładowej nie byli ludźmi uczciwymi, to znaczy takimi, którzy reprezentują interesy robotników, a nie zarządzała się dyrekcji.

Strajkujący poza uzyskaniem podwyżki głównie oczekiwali zmian w organizacji pracy, rewidacji etatów, robotniczych zażądań wizerunku, lepszej zaopatrzenia w narzędzia i materiały, a sam strajk był między innymi protestem przeciwko arbitralnym, niedemokratycznym decyzjom np. o podziale funduszy przeznaczonych na Dzień Kobiet, protekcyjnym awansom i skierowaniem do szkół, przetrzymywaniu wbrew regulaminowi odznaki „Zasłużony dla zakładu” oraz lekceważeniu opinii załogi.

Dotychczasowe metody wyrażania swego zdania okazały się nie skuteczne. Jeden z robotników w wywiadzie stwierdził, że nawet sekretarz POP nie był w stanie załatwić postulatów i życzeń ludzi i dlatego rozmowa zdecydowała się z tej przyczyny na złożenie legitymacji partyjnej. Wszystkie te okoliczności doprowadziły do tego, że strajk stał się formą protestu. Badana robotnica powiedziała nam wprost: „strajk miał pokazać, że robotnik też ma coś do powiedzenia, na przykład na zebraniu partyjnym lub związkowym. Cieszyłam się, że robotnik będzie miał głos, że nie będziemy się bali tak jak wcześniej, że będzie sprawiedliwiej”. Jej opinie można uzupełnić stwierdzeniami: „w czasie i po strajku stałam się odważniejsza”, „baliśmy się, bo mam tylko 4 lata do emerytury, ale dopiełśmy swego, pokazaliśmy swoje zdanie”.

Wypowiedzi te są godne podkreślenia jako psychologiczny efekt strajku, bowiem jego inne rezultaty nie zaspokoiły załogi. Z perspektywy miesiąca po zakończeniu strajku część pracowników czuła się rozczarowana, czy nawet wręcz oszukana, gdy w połowie września na temat przerwy w pracy opowiadała takie uwagi, jak poniżej:

— „pocięzienie strajk nie dał”;
— „szulerstwo, kto miał mało i tak ma mało”;
— „strajk skończył się za wcześnie, jakby trwał dłużej, to by z nami władze musiały rozmawiać”.

Wydało się, że ze strajkiem w „Famidzie” jego uczestnicy wiąжали różne, czasem nawet sprzeczne ze sobą nadzieje i stąd rozczarowanie. Oczekiwano, że sam fakt przerwy w pracy spowoduje radykalne zmiany, poprawi zaopatrzenie w sklepach, zmieni porządek w fabryce. Nie uwzględniono realności niektórych zmian oraz czasu, jaki jest potrzebny na ich wprowadzenie. Podzielone były także zdania co do samej formy protestu: „faktycznie był strajk”.

— „nie byłam za strajkiem, ale bałam się, co inni powiedzą jak się nie dotęczę”;

— „ludzie nie wiedzą czego chcą, a zraziłam się tym, że najbardziej zawzięte w strajkowaniu były nieroby”;

— „jestem niezadowolona, to nie nie dało”.

W konkluzji można stwierdzić, że brak innej skutecznej piaszczyny wywnioskowania swych opinii przez załogę oraz załatwianie służbnych jej postulatów doprowadziło do strajku. Ludzie, którzy byli niezadowoleni z warunków pracy i życia właśnie w ten sposób wyrazili swoje nieukontentowanie, swój protest.

w ciągu dwudziestu lat. I trzeba powiedzieć, że planowanie było dobre, bowiem w 1978 roku, BUL osiągnęła 1 milion woluminów, a więc zaledwie dwa lata przed terminem. Kompletnie natomiast zawiodło myślenie perspektywiczne. Skoro bowiem „napelnienie” biblioteki przewidywano na rok 1980, to już w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, a biorąc poprawkę na nasz oszałamiający szybki cykl inwestycyjny, nawet w pierwszej połowie, trzeba było zacząć myśleć o nowym magazynie, bo zbiory nie przestają przecież rosnąć po upływie planowanego terminu. Związane z tym, że gmach nowego magazynu nie jest budowlą standardową, lecz wymaga specjalnej konstrukcji stropów wytrzymałych na znaczne obciążenie, musi ponadto spełniać szereg innych warunków, jak choćby system ogrzewania, utrzymujący we wnętrzach stałą temperaturę, tak istotną dla przechowywania książek. Technika idzie naprzód, więc wypadło przewidzieć nowoczesny system obsługi zbiorów, jak windy, podnośniki i inne urządzenia ułatwiające komunikację zaplecza z czytelniami oraz przenoszenie i opracowywanie zbiorów.

Tu wypada przypomnieć, że większość polskich bibliotek (poza najnowszymi, ale niekiedy niekiedy) tkwi technicznie w czasach Matuzalema. Ani nowoczesnych transporterów, ani podnośników pozwalających docierać do szczytów regałów, ani szerokiego zastosowania informatyki przy katalogowaniu, opracowywaniu i powielaniu zbiorów, ale to tylko tak na marginesie.

Niestety niczego nie zrobiono, o czym nie pomyślano, skutkiem czego dzisiejsze władze uniwersytetu i BUL mają na głowie nie lada problem — co zrobić, żeby biblioteki nie uduścis?

Od momentu „napelnienia” biblioteki upłynęły cztery lata, przybyło ponad dwadzieścia tysięcy tomów i magazyny zaczęły pękać w szwach, a głośnięcej „ława” wygłasy się stropy.

W każdej bibliotece istnieje normalny, ruch zbiorów, który, zaktualizowane pozycje oddaje się na makulaturę, niekiedy idąc na wymianę lub dary, jeszcze inne sprzedaje się do antykwariatów. Niemniej jednak tzw. „czyste” wpływy są na tyle znaczne, by uderzyć na alarm. Jak poinformował dyrektor BUL, doc. Włodarczyk, przed biblioteką zostało trzy, cztery lata życia, potem nastąpi śmierć przez uduśczenie. W ciągu tych kilku lat zostanie osiągnięty maksymalny poziom wytrzymałości budynków, już dziś książki są upychane do granic możliwości głównego magazynu i poza nim, we wszystkich możliwych i niemożliwych pomieszczeniach. Właściwie należy mówić o składowaniu, a nie przechowywaniu książek. Czy to tak trudno sobie wyobrazić, ile miejsca zajmuje ponad dwadzieście tysięcy tomów i ile one ważą? Niebawem trzeba będzie składać książki w pryzmach na korytarzach i w końcu może się zdarzyć, że cała instytucja weźmie się i zawali z wielkim hukiem.

Te trzy, cztery lata to ostatni dźwięk do działania. Co można zrobić? Kiedyś można było molestować wszystkich świętych o budowę nowego magazynu dla biblioteki. Dzisiaj krzyż gospodarczy wklęcza to ewentualne braki środków, na przykład, Dlatego kierownictwo BUL, wysunęło projekt zwrócenia się o pomoc do miasta. Zaaprobowali, by Urząd Miasta Łodzi pomógł znaleźć zastępczy magazyn, przekazał go w ręce władz uniwersyteckich, oraz pomógł w poniesieniu kosztów ewentualnej adaptacji.

Nie jest bez znaczenia jaki to będzie budynek i gdzie. Wiadomo, że wszelka przewidywania jest u nas wyjątkowo delfinowicza, więc trzeba szukać budynku, który na przeobrażenie będzie mógł spełniać właściwie swe funkcje przez długi okres, nim nie będzie lepsze czasy i nie znajda się pieniądze na budowę nowoczesnego magazynu.

Monity w Urzędzie Miasta Łodzi przyniosły efekt o tyle,

że zaproponowano bibliotecznemu w miejscowości Dzierżan, około 20 km od Łodzi. Oczywiście nikt się nie spodziewał, że magazyn zastępczy będzie technicznie pasował jak ulał do potrzeb biblioteki, ale ta propozycja daje pewien obraz rozeznania decydentów, czym właściwie jest biblioteka.

Budynek, po pierwszych oględzinach, dokonanych przez dyrektora BUL do spraw technicznych inż. Włodarczyka, okazał się być spory kubaturą, ale ma kilka słabości. Po pierwsze — wymiany wymagają stropy, jeśli mają wytrzymać ciężar kilku tysięcy tomów. Po drugie — budynek jest ogrzewany piecami kaflowymi na węgiel, co praktycznie dyskwalifikuje go jako magazyn książek. Adaptacja wymagałaby praktycznie całkowitej przebudowy konstrukcji nośnej budynku, zakładania nowej instalacji ogrzewczej (opartej na własnej ciepłowni) i całego szeregu innych przeróbek. W sumie — prucie gmachu za większe pieniądze, niż budowa nowego magazynu. Ostateczna ekspertyza techniczna, co do zakresu i opłacalności adaptacji budynku w Dzierżan, spodziewana jest w najbliższym czasie.

Dyrekcja biblioteki nie porzeka na tym jednym wariancie, szukając innych rozwiązań. W ogóle należy raczej — jak uczy doświadczenie — liczyć na siebie i własnymi drogami szukać odpowiedniego budynku i dopiero wtedy rozpocząć szturm do urzędów, by uzyskać prawo własności i pomoc w adaptacji. Optymalna byłaby sytuacja, gdyby uzyskano magazyn zastępczy w obrębie Łodzi, w zasięgu komunikacji miejskiej. Im dalej, tym więcej komplikacji. Pojawia się problem transportu personelu. Gdyby rzeczywiście miał to być obiekt w Dzierżan, wówczas biblioteka musi dysponować własnym transportem, by przywieźć i odwieźć pracowników, by zapewnić stałą, niezależną komunikację magazynu z siedzibą główną. Pojawia się dodatkowy problem opatu dla magazynu, jego transportu, a co za tym idzie, ogólnych kosztów eksploatacji dalekiego magazynu, które mogą przewyższyć koszty utrzymania siedziby głównej. Wszystkie te koszty obciąża chude Księstwo Uniwersyteckie i tak borykającego się z rozlicznymi brakami.

Pomocy władzom biblioteki muszą zatem udzielić wszyscy, dla których te książki nie jest obciążeniem. Kampania w prasie codziennej, zbieranie informacji o budynkach dających się zaadaptować dla magazynu bibliotecznego, wreszcie propozycje różnych zakładów pracy, które bez zalu mogą się wyżyć rozmaitych budynków — to może być jakaś droga. No i stały nacisk na władze zmuszający je do aktywności w tej sprawie.

CZY TO JEST WYJŚCIE!

— Każda wielka biblioteka na całym świecie — twierdzi dyr. Włodarczyk — posługuje się tzw. magazynem składowym. Taki magazyn może być nawet dość daleko usytuowany od siedziby głównej, pod warunkiem, że będzie dobrze zorganizowanej komunikacji.

Rodzi się kwestia selekcji zbiorów, które mogą pojechać do dalekiego magazynu, tak, by nie ograniczać dostępności tychże dla normalnego użytkownika. Ale tu wiemy, czym dysponujemy i możemy sami decydować. Po pierwsze — mogą tam powędrować zbiory używane rzadko, np. czasopisma, które zajmują mnóstwo miejsca. Wywiezienie tego typu zbiorów wcale nie oznacza, że czytelnik będzie miał do nich utrudniony dostęp. W razie potrzeby można zrobić mikrofilm lub odbitkę kserograficzną do użytkowania w czytelni. Ma to te dodatki, że zaletą, że chroni unikalne egzemplarze przed zniszczeniem, o co nie trudno w transporcie czy częstym używaniu, a także — o czym jeszcze powiemy — przed kradzieżą.

Do dalekiego magazynu mogą także zostać przesłane zbiory działu „druk w sędziach i dubletów”. Dublety to nie są druki nie używane. Ten dział pracuje nieco inaczej niż pozostałe, ale nie znaczy to,

Książkę jak chleb...

że jest to dział martwy. Te druki pracują, choć nie są wypożyczane czytelnikom. Są to wielokrotne egzemplarze tego samego tytułu. Część podlega kasacji, część ofiarowuje się innym bibliotekom lub instytucjom naukowym. Słowem ten dział ma duże znaczenie dla utrzymywania kontaktów biblioteki ze światem zewnętrznym. W dziale dubletów znajdują się także książki, które nie pracują, np. zbiory poniekąd, Kto dziś czyta druki pisane gotykiem, jeśli nawet studenci germanistyki tego nie potrafia? To są zbiory martwe, najprościej byłoby je po prostu wyrzucić. Ale żal, są to przecież ślady myśli ludzkiej. Książki nie można traktować wyłącznie w kategoriach użytkowych. Książka żyje tak długo, jak długo istnieje prawdziwość, że kiedyś komuś okazała się potrzebna. Podobnie rzecz się ma z księgozbiorem Łódzkiego Towarzystwa Naukowego, które swego czasu sporo drukowało i dziś mamy po kilka lub kilkanaście egzemplarzy tego samego tytułu. Mogą one iść na wymianę czy dary. Można więc odesłać do dalekiego magazynu sporą część naszych zbiorów, zwalniając tym samym miejsce w magazynie głównym dla pozycji często używanych, bądź dla stałe, choć coraz gęstszym strumieniem, napływających nowości.

Ratunkiem w tej trudnej sytuacji powolnego duszenia się może też być modernizacja systemu obsługi zbiorów,

zwłaszcza jego mechanizacja i miniaturyzacja. Pozwoliłoby to na oszczędniejsze gospodarowanie przestrzenią. Można to osiągnąć posługując się mikrofilmem i mikrofotografią, kserografem, a ostatnio otrzymanym z NRD aparatem fotograficznym przystosowanym do robienia tzw. mikrofilmów. Na jednej kłiszce można zreproduktować nawet całą książkę, strona po stronie. Oczywiście miniaturyzacja nie załatwi problemu tragicznego braku miejsca. Jeśli nawet sprzedzi się mikrofilmowe jakichś woluminów, to nie znaczy to, że można już zniszczyć oryginalny egzemplarz, np. XIX-wiecznej gazety, która sama w sobie jest dokumentem historycznym. Bez niej pracowała odbitka takiej gazety a oryginalna zabazniczo, może leżeć w magazynie, tylko trzeba go mieć!

— Często się zastanawiam — mówi dyr. Włodarczyk — czy my Polacy nie mamy czasem zbyt staroświeckiego stosunku do książek. Trzymamy często ponoszone tomy dawno zwitradłe gazety i nie mamy serca się tego pozbyć tak jak to z ulgą robią na przykład biblioteki amerykańskie. Książka zniszczona, przeczytana na śmierć spełniła swą rolę, zatem można ją skasować, bo pojawiają się nowe jej wydania. Mamy uraz na punkcie palenia czy niszczenia książek, ale czasem jednak trzeba odesłać na makulaturę, a konserwatywne przywiązanie blokuje tylko szczupłą przestrzeń.

KSIĄŻKI SIĘ NIE RZUCA, KSIĄŻKĘ SIĘ KŁADZIE

Stosunek do książki jest zresztą szerszym problemem, co potwierdza moja wizyta w Bibliotece Uniwersyteckiej. Przejawem tej sytuacji jest nasilające się zjawisko kradzieży. Książki ginęły zawsze, to stało się już niemal normą. Czasami ginęły przez gapiostwo lub zapomnienie i tych była większość. Student kradł, bo chciał mieć podręcznik na własność. Teraz przeważają — jak twierdzi dyrektor Włodarczyk — kradzieże typu handlowego. Ktoś wynosi książkę po to, żeby ją sprzedać na bazarze. Placi karę, cenie książki, obliczoną wedle wartości merytorycznej, daty wydania, wysokości nakładu, dostępności egzemplarzy.

— Za ceną i rzadką rzecz każemy płacić więcej — to zrozumiałe — mówi dyr. Włodarczyk — ale co z tego? Bazarowa cena takiej książki pokrzywdzi człowieka wszelkie koszty, a dla nas pozycja jest i tak bezpożywnie stracona.

I powstaje pytanie, czy z czytelni podręcznej, tam gdzie czytelnik swobodnie buszuje wśród regałów, usunąć książki wartościowe, szczególnie narażone na kradzież. To dotyczy zwłaszcza wszelkich wydawnictw słownikowych, encyklopedycznych, podręczników, ale nie tylko. Przecież po to jest czytelnia podręczna, by te książki były ogólnie dostępne. Więc usunięcie z niej takich pozycji pozbawi czytelnię racji bytu. Tak, ale w tej chwili kradną już wszystko. Teraz nie sposób przewidzieć, jaka książka okaże się lakomym kąskiem dla złodzieja. Ostatnio ukradziono na przykład „Podręcznik dekoratora” — bo piękne albumowe wydawnictwo pójdzie na bazarze od ręki, choćby dla pięknych fotografii. I tu trzeba sobie otworzyć powieść jedno: z biblioteki, w tym i z czytelni, mogą korzystać wszyscy. Każdy człowiek, nawet z ulicy. Ale przeważają studenci i wszystko wskazuje, że czytelnicy z ulicy” nie zważają z uczelniami, nie są tak grupą najbardziej groźną dla całości księgozbioru. Wniosek jest prosty. Skoro nauczniel-sza grupa stanowi studentów, to na nich spada główny ciężar walki z kradzieżą. To zresztą jest tylko jedna strona tego obrzydliwego medalu.

Druga, znacznie gorsza, jest niszczenie książek. To nie jest bezmyślność ani głupota. To jest przestępstwo.

— Bywa — mówi dyr. Włodarczyk — że mamy kilka zaledwie egzemplarzy jakiejś poszukiwanej książki i zdarza się, że wszystkie te egzempla-

rze mają wyrwane te same strony. Bo na przykład studentom — powiedzmy — prawa zalecono przeczytanie jakiegoś urzyku, więc po co ktoś ma się męczyć, skoro łatwiej wyrwać odnośną stronę. W ubiegłym roku mieliśmy taki szczególnie dla nas bolesny przypadek. Student biblioteczni wstąpił, a więc przyszli stróż i opiekunowie książek, na 1 roku mieli przeczytać jakiś artykuł w fachowym czasopiśmie bibliotekarskim. Wydało kilkadziesiąt stron!

Groźne jest jeszcze jedno zjawisko, także niestety narastające. Student kradnie nie tylko książkę, ale i jej kartę katalogową, usuwając tym samym wszelki ślad jej istnienia. — Czasem, dzięki katalogom rzeczowym lub autorskim — powiada dyr. Włodarczyk — dojdziemy w końcu, że książka zginęła i kto ostatni ją wypożyczał. Ale na ogół jesteśmy zupełnie bezradni. Studentów uważa się za ludzi, którzy podejmując studia, mają szacunek dla książki. Proza życia, niestety, woła o pomstę do nieba. Ale jest to efekt tego, że kultura nie jest niezbędna w życiu codziennym, jak powieź. Przecież nie można przy ujęciu posadzić złego psa i rewidować każdego czytelnika. Można tylko wychowywać nie do kradzieży książki, nie w codziennej potrzebie książki.

MILI ACZ UCIAŻLIWI...

„sublokatorzy. Biblioteka nie jest u siebie. Kiedy gmach BUL oddawano do użytku, wydawał się ogromny i pusty, więc przypięto kilkoro gości, a raczej sublokatorów. I teraz męczą się i oni, i biblioteka. Im też niekiedy, bo gnieźdzą się w warunkach zupełnie nie przystosowanych dla ich potrzeb. Na ogólną powierzchnię 11 tys. m kw., jakimi dysponuje biblioteka, nasi goście zajmują około 1 tys. m kw., ale za to w samym środku gmachu czytelni głównej, uniemożliwiając rozwój (z braku miejsca) np. Działu Zbiorów Specjalnych. Wszyscy sublokatorzy gromadzą swe biblioteki w zagłuszających, których konstrukcja nie jest do tego przystosowana. Efekt jest taki, że w jednej z sal, zajętej przez Instytut Kulturoznawstwa, wygiął się strop, bo nie wytrzymał ciężaru książek. Sala jest zablokowana, ponieważ ocena techniczna nie wyklucza zawalenia się stropu.

**JOLANTA
WRONKA**

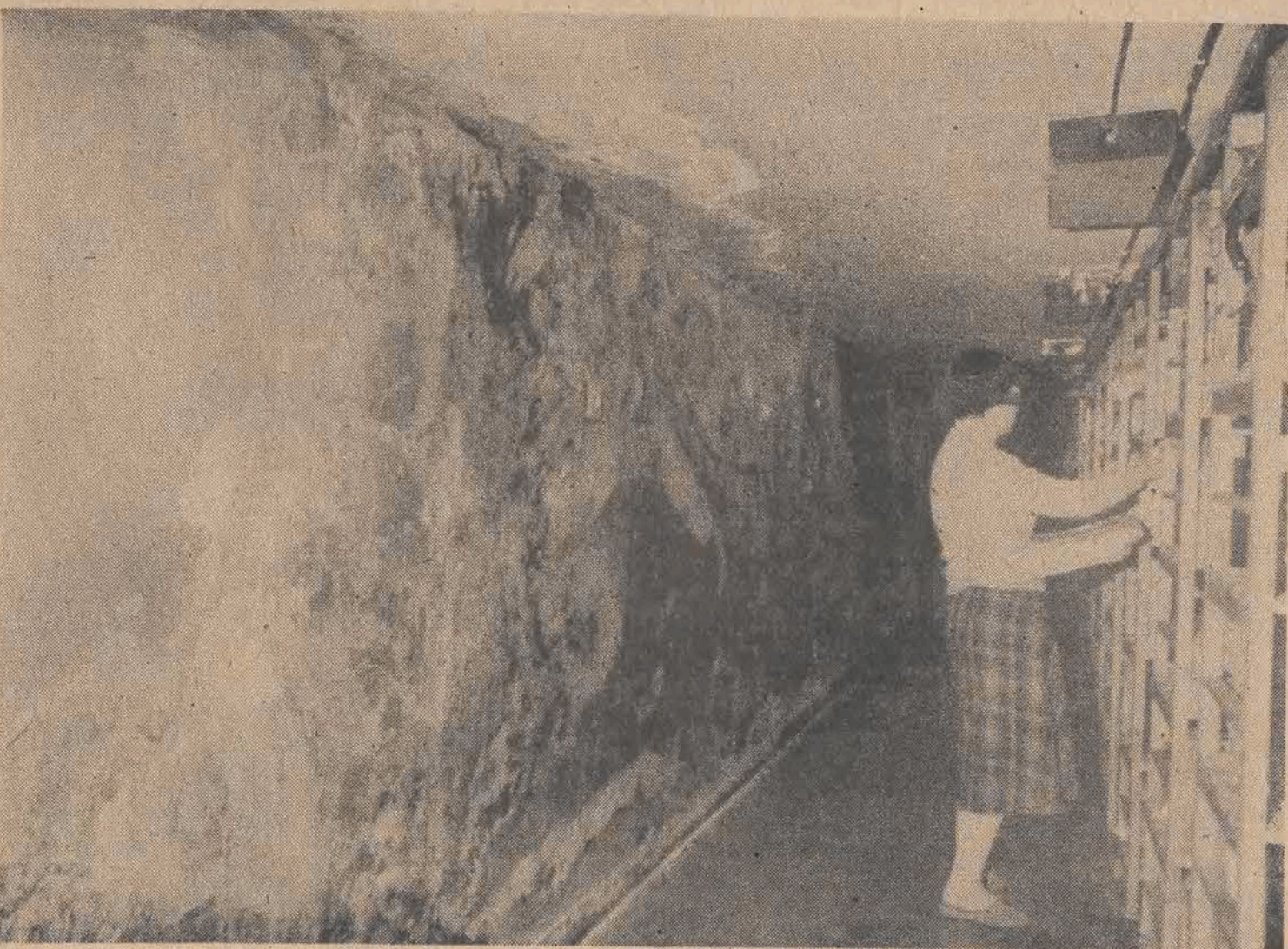


Foto: M. Zujdler

Dokończenie ze strony 1

sięgać do różnych książek, źródeł, szperać i tym samym zdobywać coś nowego, czego przedtem nie znałem...

KATARZYNA BARANEK — podharcemistrz, kierownik Wydziału Kultury i Propagandy Komendy Chorągwi Łódzkiej ZHP: Harcerstwo, jako forma otwarta, daje cały wachlarz propozycji, z których młody człowiek może sobie wybrać to, co mu odpowiada. Nikt nikogo nie chce zmuszać, aby wbrew sobie zajmował się plastyką czy literaturą. Drogi do kształtowania własnej osobowości są różne, nie zawsze zdecydowane i proste. Ale my wychodzimy do was z propozycjami i chcemy, byście z nich skorzystali. Nie może być takiej sytuacji, by ktoś, kto przeżył tam lat nosił mundur harcerski, mógł kiedyś powiedzieć, że niczego nie harcerstwo nie nauczyło, że nie z tej organizacji nabrał wrażeń, że był to w jego życiu okres stracony.

S. DOBROWOLSKI: Chwileczkę, a może ja nie mogę dotrzeć do interesującej mnie książki, nie mogę obejrzeć takiego filmu, na jak miałbym ochotę. Nie czarujmy się, propozycje jakiego otrzymujemy są więcej niż skromne. Dziś ciekawa książka jest nie do zdobycia, a jeśli już jest, to nie na naszą kieszeń.

MALGORZATA MUCHOWICZ — przewodnik, drużynowa 69 LDH: Sądząc, że abymy my, instruktorzy, mogli dobrze wychowywać, musimy sami być objęci właściwym wychowaniem w naszych szkołach.

R. OLCZAK: Jak można z młodzieżą mówić o kulturze? W liceum uczeń ma do przeczytania jedną pozycję Mickiewicza, a potem pani nauczycielka ogranicza się do wyegzekwowania jedynie treści przeczytanego utworu, nie wymaga nawet by uczeń powiedział bodaj o przesłaniu zawartym w tekście. Albo inna sprawa: z literatury rosyjskiej i radzieckiej serwują nam sporo autorów drugorzędnych, natomiast ani słowem nie wspomina się o największym z pisarzy — Dostojewskim! A literatura współczesna? Jeśli uda się dobrać do początków XX wieku, to szkoła uważa to za sukces. Przecież bywało, że do matury tydzień, a pani stwierdza z przerażeniem, że nie zdążyła omówić okresu międzywojennego, literatury okupacyjnej, nie mówiąc o tej najnowszej. Na pocieszenie jednak dodaje, że tematy maturalne i tak tych okresów nie obejmują, więc nie wielka strata, że czegoś tam nie „przerobiliśmy”. Dlatego zdaje się, iż ktoś w klasie dotarł do książki Cortazara i dzieli się tym z innymi. Ale ci z IV klasy LO o takim pisarzu nie słyszeli. Podobnie dzieje się w przypadku Irvina Shawa, Steinbecka czy Jamesa Joyce’a. Literatura współczesna, jeśli ktoś ogranicza się jedynie do wiedzy szkolnej, pozostaje terra incognita. U nas, jeśli ktoś przeczytał „Trzech muszkieterów” — to już uchodzi za intelektualistę, jest dobry, bo ma chody w bibliotece.

BARBARA KOWALSKA — wędrownik, przyboczna 63 LDH: Owszem, słyszeliśmy o Różewicu i Herbercie. Ale tych autorów nie ma w programie szkolnym. O Miłoszu dowiedzieliśmy się jak w telewizji powiedziano, że otrzymał Nobla.

M. MUCHOWICZ: Na początku roku podaje się nam lekturę. Jest tego sporo. Ale jeśli klasa prezentuje odpowiedni poziom i jeśli nauczycielka jest polonistką z prawdziwego zdarzenia, wówczas poleci nam i Różewicza, i Herberta, i Gombrowicza. Ale jest i taka prawda, że wśród uczniów panuje wielka niechęć „przerabiania” zadanych lektur. Ten, kogo to interesuje — przeczyta, inni — będą szczęśliwi, że nie musieli. Zresztą nie mamy czasu na dogłębne wnikanie w treść utworu, na rozpatrywanie wszelkich jego aspektów: artystycznych, społecznych, politycznych, literackich itp. Np. na „Kolumbów” Bratnego mamy zaledwie trzy godziny lekcyjne. Czy można w tym czasie solidnie poznać tę książkę? A przecież jest to książka ważna w naszej literaturze. Nie jestem pewna czy w mojej klasie wszyscy wiedzą czym była AK.

IWONA PLEBAŃCZYK — pionier drużynowa 5 Łódzkiej Wodnej Drużyny Harcerskiej: Odnoszę wrażenie, że profesorowie nie zawsze chcieli, a może wręcz bali się mówić o pewnych rzeczach. Ja, na przykład, niewiele wiem o takich pisarzach, jak Zbigniew Żalusiński czy Edmund Osmaciński. Tego ostatniego widziałam w telewizji, że sprawozdania sejmowego. A że coś pisze? Tego w szkole nie mówiono.

PAWEŁ JARON — organizator, drużynowy 63 LDH: Moja klasa aktualnie nie ma nauczyciela polonisty. Dawna nauczycielka odeszła, zastępstwo nie ma. Owszem, wpadła któregoś dnia jakaś nauczycielka do klasy, zrobiła test z tego, co było

lic i rozwijać swoje zainteresowania swoją wiedzę. Słuchając tekstów, opracowując je, przygotowując ich późniejszą prezentację, muszę



Foto: M. Zajdler

Każdy jak Zawisza...

na ostatniej lekcji, postawiła nam czwórki i więcej się nie pojawia. Po kilku dniach zjawiała się jeszcze inna i także zniknęła. Więc jak można mówić o edukacji? My mamy uczyć młodszych, kiedy nas nikt nie uczy?

JAROSŁAW OTWINOWSKI — organizator z 48 LWDH: Wszystko zależy od nauczyciela. Jeden potrafi swoją wiedzę przekazać, inny — mimo dobrych chęci — niczego nie nauczyć. Nie znajduję do nas drogi. Jest to męczarnia: my się męczymy, bo nie wszystko, o czym mówi na lekcji do nas trafia, nauczyciel — bo uważa, że jesteśmy leniwi i nieucy. A prawda leży zupełnie gdzie indziej.

I. PLEBAŃCZYK: Myślę, że aby nauczać, trzeba być zaangażowanym w swojej pracy, chcieć coś przekazać innym, coś najbardziej wartościowego, do czego inni sami nie dojdą.

R. OLCZAK: Jeszcze jedno: każdy utwór literacki jest uwarunkowany przez historię. Nie można uczyć się literatury bez znajomości historii. A tej ostatniej uczono nas w szkole nie zawsze dobrze, czasem wręcz ją wypaczając. Do tego dochodzi ogromna rozbieżność w wykładach: z historii „przerabiała się” np. rewolucja francuska, a z polskiego „Płocówkę”. Albo wzięmy taką sprawę, jak wychowanie przez teatr. W szkole nie chodzi się do teatru na to, na co się chce, ale na to, na co szkoła załatwi bilety. Czasem prywatnie udawało się nam trafić na „Małą Salę” Teatru Nowego, na przedstawienie zmuszające do myślenia. Ale było i tak, że siłą ciągnięto nas do Teatru Jaracza na „Płocówkę”, która do reszty obrzydła nam teatr.

S. DOBROWOLSKI: Teatr w szkole jest rzeczą przypadkową. Spektakle nam się narzuca, po prostu musimy obejrzeć taki lub inny, choć nikt na to nie ma ochoty. Podobnie jest z programami szkolnymi w tv. W szkole tego się nie ogląda, bo telewizor z reguły jest dla nauczycieli, a jeśli np. program z geografii czy polskiego wypada akurat na lekcji matematyki lub fizyki, to przecież wiadomo, że taki nauczyciel nie pozwoli nam oglądać telewizji. Tak więc szkoła sobie, a paragrafy sobie.

D. BARANOWSKI: Weźmy biblioteki szkolne: tam nie można nic znaleźć, są to pustynie. Gdyby nie biblioteki rejonowe, niewiele byśmy czytali.

R. OLCZAK: Ja należę do czterech bibliotek rejonowych. Ostatnio trafiłem do przykładowej i mogę stwierdzić, że jest to najlepsza moja biblioteka, bo tam mogę wybierać wprost z półek.

ALEKSANDRA TRAFALSKA — kierownik 21 Rejonowej Biblioteki Pub. dla Dzieci i Młodzieży: Reprezentuję dość dziwną bibliotekę: jest ona dla dzieci i młodzieży. Dziś jest to anachronizm. Życie wymaga, by te działy rozdzielić, bo inne zainteresowania mają dzieci, inne młodzież. Ale nasza biblioteka prowadzi specjalizację harcerską. W mojej bibliotece rocznie mam 2,5 tysiąca czytelników. Jest to bardzo dużo. Do mnie przyjeżdżają harcerze z całej Łodzi. Ale jest inny problem: ani dzieci, ani młodzież nie umieją korzystać z księgozbiorów. Winę za to ponosi szkoła, która nie prowadzi tzw. lekcji bibliotecznych. To nie kpina ani żart, ale iluż uczniów nie potrafi odróżnić encyklopedii od słownika czy leksykonu. A to także należy do edukacji, może mało znaczącej, ale jakże potrzebnej.

K. BARANEK: Mówimy o edukacji, jakby zaczynała się ona od szkoły, od mundurka zachowawczego. Tak wcale nie jest, bo już dzieciom w wieku przedszkolnym, tym dwu, trzy czy sześciolatni czytamy opowieści, opowiadamy bajki, pokazujemy kolorowe malowanki. Kiedyś były książeczki wydawane przez Krajową Agencję Wydawniczą przeznaczone dla tych najmłodszych. Pomysł był dobry, gorzej przedstawiała się jego realizacja. Bo obok książeczek pięknych, z morałem, były takie, które należało natychmiast wyrzucić na śmietnik. Posłusznie się przykładem. Oto „Króliczek” z nie narzucającym się morałem, pogodną opowieścią zachęcającą do pracy oraz „Słodką przegrodą”, która nie dość, że morału nie ma, to na dodatek propaguje sposób życia nie do przyjęcia nie tylko dla malucha, ale i dla dorosłych. Jest to po prostu głupia książka o piratach mordujących, zabijających, wywijających ostrymi nożami. Więc pytamy: czy mamy edukować posługując się taką literaturą? Chyba coś tu jest nie tak, prawda?

Dyskusja trwała do późnych godzin wieczornych. Tak na dobrą sprawę było to wielkie narzekanie na metody nauczania, na niektóre wypaczenia funkcjonujące przez wiele ostatnich lat. I właściwie już na zakończenie dyskusji, drużyny **KATARZYNA BARANEK** i **ALEKSANDRA TRAFALSKA** zaczęły mówić, jakie przewidują się formy i sposoby wdrażające tę ogólnopolską akcję wychowania poprzez kulturę. Przypomniły, że jeszcze nie tak dawno była taka sprawa, harcerska jak „księgonosz”. Dotyczyło to przede wszystkim wsi, gdzie odległość punktu bibliotecznego od domów wynosiła nierzadko kilka kilometrów; że w niedługim czasie w Łodzi rozpoczęła się praca Wyższej Szkoły Teatralnej, Filmowej i Telewizyjnej; że powołano kurs dla instruktorów zespołów amatorskich; że w czytelnich bibliotecznych wykłada się prasę literacką (jako przykład posłużyły nasze „Odgłosy”), kiedy to biblioteki iódzkie musiały być prenumerować, co było dopustem, a później stały się piśmami poszukiwanym i dziś młodzież domaga się, aby były każdorazowo wykładane; że ogłoszono konkurs na reportaże harcerskie; że będzie ukazywać się i to wkrótce specjalny biuletyn wydawniczy zawierający nowości z beletrystyki; że zamierza się, nie licząc się z niczym, zapraszać największe sławy naszego życia kulturalnego (padło nawet nazwisko: Artur Sandauer); że przyjadą do Łodzi czelowi reportażyści...

Planów jest sporo, a znając zapal harcerzy (piszący te słowa sam był kiedyś harcerzem, a potem dosłużył się nawet instruktorskiego stopnia — przewodnik) należy wierzyć, że decyzyje, jakie capadły na ostatnim IX Posiedzeniu Rady Naczelnej ZHP będą od ręki wcielane w życie. Kryzys, jaki przeżywamy, nie ominął także kultury. Ale gdy osiągnięcie równowagi gospodarczej może jeszcze potrwać kilka lat, to wyjście z impasu kulturalnego można przyspieszyć.

W Łodzi działa 19 hufców (a w nich jest 1.083 drużyn i 167 szczepów), legitymacje instruktorskie, harcerskie i zachowawcze nosi 29.507 osób. Jest to wielka siła moralna, a jednocześnie jest to ta część najmłodszych obywateli, która uczy się życia w społeczeństwie zintegrowanym, kolektywnym, mającym za sobą ponad 70-letni dorobek wychowawczy. I dlatego harcerstwo ma pełne prawo zabierać głos w sprawach kultury, w jej upowszechnianiu i w jej tworzeniu. Aby temu ruchowi nadać konkretny kształt, by służyć radą i pomocą, powołano przy Chorągwi Łódzkiej Radę Kultury, w skład której weszli przedstawiciele literatury, muzyki, filmu, teatru, prasy, radia i telewizji. Należy jedynie przyklasnąć tej inicjatywie, a od jej uczestników oczekiwać dobrych pomysłów i daleko idącej pomocy.

EUGENIUSZ IWANICKI

Dokończenie ze strony 3

Nie każda nierówność jest niesprawiedliwością. Natomiast przez radykalnych zwolenników daleko posuniętego egalitaryzmu, ten aspekt zobowiązań państwa jest sprowadzany do zobowiązania likwidacji lub co najmniej stałej redukcji nierówności w dostępie do pożądaných dóbr. Tu jednak — jak pisał Wiatr — charakter zobowiązania ideologicznego pozostaje niejasny, bowiem w pewnych tekstach tradycyjnych marksizmu, zobowiązanie to można by określić jako zobowiązanie do realizacji egalitaryzmu. Natomiast w tekstach późniejszych, zwłaszcza tych, pochodzących z okresu sprawowania władzy przez partię komunistyczną, wynika interpretacja zagadnienia w duchu sprawiedliwości społecznej, a nie egalitaryzmu.

Autor zauważa także, iż rozbieżność w tej kwestii podyktowana być może rozbieżnością interesów, bowiem „wyższe dochody i w ogóle wyższa pozycja wiąże się na ogół z mniej egalitarnym rozumieniem sprawiedliwości społecznej”, a także, iż w świadomości społecznej pierwszy z wymienionych aspektów (ilościowy) zajmuje miejsce uprzywilejowane.

To ostatnie wydaje się słuszne w odniesieniu do okresów pomyślnego rozwoju gospodarczego, natomiast w okresie kryzysu społeczno-ekonomicznego, potoczna opinia na pierwszym miejscu stawia aspekt dystrybucyjny i to w interpretacji egalitarnej, co znajduje wyraz w aktualnej publicystyce (np. kwestia „sprawiedliwego rozdziału kosztów kryzysu”). Model zobowiązań państwa w okresie powojennym

ulegał jednak istotnej ewolucji. Przez cały okres powojenny zakładano realizację zobowiązań egalitarnych, które dominowały do 1955 r. Natomiast lata 1956—1970 to okres „zastąpienia zasady równości zasadą tzw. sprawiedliwych różnic”; od tego okresu rozpoczyna się akceptacja wzrostu rozpiętości poziomów zaspokajania potrzeb. Zaś w latach 1971—78 nastąpiło „połączenie zobowiązań egalitarnych wobec grup uboższych z wyraźnym akceptowaniem rosnących różnic w stosunku do grup wyższej sytuacji”.

Autor prezentuje tylko model założony, natomiast nie analizuje jego realizacji, co byłoby z pewnością bardziej interesujące i plodniejsze naukowo. Niezbyt trafnie określił także aspekt jakościowy zobowiązań państwa w okresie 1956—70, jako „adaptację wzorów konsumpcyjnych z krajów kapitalistycznych, przy częściowym poszukiwaniu własnych wzorów”, oraz w latach 1971—78, jako „brak jednoznacznych określeń pożądanego modelu jakościowego, przy równoczesnym podkreśleniu jego odrębności”. Należałoby raczej odwrócić kolejność tych określeń.

Zagadnienia konsumpcji społecznej nie sposób izolować od polityki społeczno-gospodarczej Polski Ludowej. Napotykalmy tu na zjawisko swoistej cykliczności rozwoju. Rozpatrując przyczyny tego zjawiska, przypomina prof. J. Wiatr przemyslenia M. Kaleckiego, który uważał, iż przyczyną tego było przyjmowanie „optymistycznych” wskaźników rozwoju. Kalecki pisał na ten temat w 1964 r. następująco: „niezrealizowanie nierealnego planu odbija się w ostatecznym wyniku głównie na spożyciu. Istnieje bowiem naturalna tendencja do utrzymania ciągłości procesów inwestycyjnych dla uniknięcia zamrożenia kapitału w niewykończonych obiektach”.

Nauki polityczne, a potrzeby praktyki

Konsekwencją cykliczności rozwoju społeczno-ekonomicznego jest w Polsce cykliczność konfliktów społeczno-politycznych, przybierających postać zbiorowych wystąpień robotniczych. „We wszystkich tych przypadkach, bezpośrednią genezę konfliktów było niezadowolone robotników z poziomu, który odbierali jako wymierzone przeciw poziomowi ich życia”.

Polityczną wymowę tych konfliktów określa J. Wiatr następująco: „W ukształtowanym modelu politycznym, legitymizacja władzy wiąże się w wielkiej mierze — co nie znaczy wyłącznie — z jej zdolnością do zapewnienia stałego wzrostu zaspokajania potrzeb konsumpcyjnych ludności, szczególnie klasy robotniczej. W razie zachwiania wiary w to, że istniejąca władza jest zdolna wywiązać się z tego zobowiązania, pojawiają się napięcia społeczne mogące przerodzić się w otwarty konflikt”.

I dalej: „Jest rzeczą wysoce niebezpieczną, gdy kierownictwo państwa poddawane jest ocenie wyłącznie czy głównie z punktu widzenia stopnia, w jakim jest zdolne zapewnić stały wzrost spożycia. Na kierowanie państwem składa się wiele różnych elementów i sprawy

spożycia — choć bezpośrednio ważne — to nie wszystko. Kryzys grudniowy roku 1970 nastąpił w tydzień po wielkim sukcesie dyplomatycznym Polski Ludowej, jakim był układ z RFN sankcjonujący polskie granice powojenne. W skali historycznej nie ma proporcji między podwyżką cen artykułów spożywczych, a normalizacją stosunków z burzącym państwem niemieckim na gruncie uznania polskich interesów i postulatów”.

Jest to zasadnicza trudność rządzenia, gdy sprawy spożycia wysunęły się na najbardziej eksponowane miejsce. Czy można temu stanowi rzeczy zaradzić?

W tym stadium rozwoju ekonomicznego, w którym Polska się znajduje (tj. w 1978 r.), niemożliwe jest takie zaspokojenie potrzeb społeczeństwa, przy którym przejściowe wahania poziomu spożycia nie wywoływałyby większych reperkusji.

W związku z tym prof. J. Wiatr proponuje następujące instrumenty polityczne:

— rzeczywiste uczynienie polityki społeczno-gospodarczej sprawą demokratycznej konsultacji,
— dialog władzy ze społeczeństwem,
— bardzo wyważone opero-

wanie prognozami i obietnicami, ponieważ: „nawet jeśli dożnie korzystne wydawać się może pozyskiwanie opinii publicznej przez formułowanie bardzo optymistycznych prognoz i dawanie wspaniałych obietnic, długofalowe efekty polityczne takiego działania mogą być groźne”.

— prowadzenie polityki konsumpcji uznawanej społecznie za sprawiedliwą.

Kolejnym istotnym problemem, (dyskutowanym również i dziś) jest zagadnienie politycznych aspektów różnic w zaspokajaniu potrzeb. Zdaniem prof. J. Wiadra porównywanie „złożoności pracy” jest przedsięwzięciem beznadziejnym, gdyż nie ma przeliczników, które pozwoliłyby ustalić jak pod tym względem mają się różne rodzaje pracy. Nie jest w ogóle potrzebne ustalanie takich przeliczników w społeczeństwie socjalistycznym, gdyż rzeczywiste zróżnicowanie dochodów wynika z innych przesłanek, niż zróżnicowanie złożoności pracy. Jest wynikiem splątania się elementów planowania i żywiołowości, bowiem oprócz decyzji centralnych dotyczących płac cen, rzeczywiste dochody są modyfikowane przez dochody z dodatkowych prac, pracy za granicą itp. Wiatr zwraca w tym kontekście uwagę na szczególne uczucie społeczeństwa na dochody i przywileje kierowników życia politycznego i gospodarczego. W rozdziale II („Socjologia władzy”), pisze na ten temat następująco: „Idzie o to, by ci, którym w udziale przypada trud, ale i zyski, sprawowali władzę z zacięciem, sens, powiędzenia, iż szlachectwo zobowiązuje. Zobowiązuje do stosowania wobec siebie kryteriów jeszcze bardziej surowych, niż wobec innych. Zobowiązuje do umiaru w korzystaniu z tego, co sprawowanie władzy przyniesie może”.

Choć z drugiej strony, teza o tym, że „ludzie zajmujący kierownicze stanowiska polityczne w państwie socjalistycznym winni otrzymywać wynagrodzenie równe średniej płacy robotnika, jest jawnie utopijna”.

Prace J. Wiadra kończy stwierdzenie, że Polska w końcu lat siedemdziesiątych stoi przed koniecznością reform strukturalnych tak politycznych, jak i gospodarczych. W publicystycznej tonacji autor wyjaśnia pojęcie dobrej władzy, tj. władzy silnej, sprawiedliwej, mądrej.

Z wielu interesujących myśli, wybrałem następującą: „Władza silna przewodzi” (...). Przywództwo, to zdolność określania celu, mobilizowanie do jego realizacji, przekonywanie o jego słuszności. Nie ma silnej władzy bez tak rozumianego przywództwa, bez zdolności prowadzenia innych ku nowym, ambitnym, ale realnym celom”.

I na koniec jeszcze jedna myśl: „Mądrze sprawować władzę, to znaczy zrozumieć co w istniejącej sytuacji historycznej można zrobić w interesie zbiorowości, nad którą władzę się sprawuje. Umieć to rozumienie historycznej szansy przekazać narodowi, wreszcie trafnie określić środki prowadzące do celu”.

W recenzji tej zdołałem jedynie zasygnalizować najważniejsze zagadnienia zawarte w interesującej pracy prof. J. Wiadra. Uważam przestudiowanie całości może dać czytelnikowi dobry punkt wyjścia do dyskusji nad problemami nurtującymi obecnie nasze społeczeństwo.

WOJCIECH GRABIŃSKI

Jerzy J. Wiatr „NAUKI POLITYCZNE A POTRZEBY PRAKTYKI” Książka I Wiedza, Warszawa, 1982.



Foto: M. Zajdler

Oficyna drukarska

JERZY WILMAŃSKI
MIROSLAW KUŹNIAK

„Miałem sporo wizyt. Młodzi i starzy przychodzili do mnie z pytaniem, co tutaj będzie. Dawniej była tu świetlica, później administracja. Kiedy dowiadawali się, że drukarnia, to od razu pytali, czy będę drukował książki. Chyba ludzie tęsknią za książkami. Byli wyraźnie uradowani, że powstaje drukarnia” — mówi Jerzy Jankowski.

W samym centrum miasta, na rogu ulicy Zielonej i Hutera, na placu okolonym ścianami kamienic, stoi mały barczek. Zza otwartych okien dobiega rytmiczny, stłumiony stukot. Oficyna drukarska. Nie zakład poligraficzny, nie gigantyczny kombinat, wypływający setki tysięcy egzemplarzy, ale właśnie oficyna. „Trzeba mieć trochę i drukarską cześć, wytrwać pracującą by ducha w Rzecz przeleć” — pisał przed laty Norwid. Jerzy Jankowski — właściciel i twórca tej oficyny ma trochę i drukarską cześć. Miał również pomysł, gdy ze starych maszyn postanowił stworzyć tę drukarską oficynę. Kim jest ten drukarz?

W dowodzie osobistym Jerzego Jankowskiego odnajdziemy adnotację: miejsce urodzenia — Janowiec. W katalogach wystaw w Berlinie, Pradze, Budapeszcie, Mińsku, Pekinie znajdziemy obok nazwiska także signum: Ibis. A więc Jerzy Ibis-Jankowski z Janowca herbu Kaduceusz. Nie ma wprawdzie tego herbu w starych herbarzach, bowiem jest to kaduceusz współczesny, choć ozdobiony stacjonaryczną czapką z dzwoneczkami. Symbol satyry i dowcipu, symbol prawdy mówionej w sposób lekkim i mądry, moim zdaniem tego świata. Dobry to herb. Firmował przecież na przestrzeni dziejów działalność wielu pokoleń satyryków. Z dobrego więc drzewa genealogicznego wywodzi się twórczość Jerzego Jankowskiego.

Trudno ją oddzielić od tego, co robi dzisiaj: od drukarstwa. Zresztą, czy możliwe byłoby prowadzenie oficyny bez owych tysięcy rysunków w pismach? Jerzy Jankowski uważa, że byłoby mu o wiele trudniej pracować bez wiedzy zdobytej we współpracy z drukarzami.

Oficyna ta jest jedyną prywatną drukarnią w Łodzi. W całym kraju wydano zaledwie kilka podobnych zezwoleń. Te oficyny, które już działają, są małe, mniejsze od łódzkiej. Może dlatego zabiegać o jej powstanie prawie dwa lata? Jerzy Jankowski ślad pisma do Ministerstwa Kultury i Sztuki przekonywał, namawiał, zapewniał. W końcu otrzymał zgodę. Niemal w ostatnim momencie, na kilka dni przed wprowadzeniem stanu wojennego.

Co zdecydowało? Po pierwsze — tworzy dorobek całego życia, będący najlepszą gwarancją dobrej, artystycznej drukarskiej roboty. Po drugie — ogólna sytuacja środowiska plastycznego. A jest to sytuacja niewesoła. Większość twórców, malarzy, grafików, rzeźbiarzy praktycznie pozostaje bez środków do życia. Brakło zleceniodawców. Nie kwapią się mecenasi sztuki. Hossa z lokowaniem kapitału w dzieła współczesnych twórców trwała krótko. Tak krótko, że dzisiaj powstałe na ówczesnej fali prywatne galerie robią bokami. Utrzymuje się jedynie ceramika i ju-

bielerstwo, reszta plastyków z niepokojem patrzy w przyszłość. Propozycja Jerzego Jankowskiego pozostaje nadal w kręgu jego zawodowych zainteresowań. Także prywatnych fascynacji. Twórca oficyny nie ukrywa, że od dawna zafascynowany jest drukarstwem. Może wpływ na to miała pewna, sprzed lat, wizyta w drukarni, gdy jako dwunastoletni chłopak wpadł w świat tajemniczego świata otwieranych liter. Ślady tej fascynacji odnaleźć można także w późniejszej twórczości Jankowskiego, ot, choćby w operowaniu ulubionym zestawieniem barw czarno-białych.

To nie przypadek, że właśnie Jerzy Jankowski otworzył oficynę drukarską. Ta decyzja jest efektem konsekwencji w życiu i marzeniach, bo nie musimy chyba dodawać, że właśnie oficyna jest zrealizowaniem dawnych marzeń. Nie wszystkim jednak dana jest realizacja marzeń. Jeśli temu się udało, to znaczy, że warto czasem pomarzyć.

Skończmy z marzeniami, przejdźmy do rzeczywistości. Otóż rzadko sobie uświadamiamy, że Łódź dysponuje wcale potężną bazą poligraficzną. Dokładniej mówiąc, zajmuje trzecie miejsce w kraju pod tym względem. Drukują w łódzkich gigantach tacy potentaci wydawniczy, jak PIW, KIW, Nasza Księgarnia, Czytelnik... Aby jednak nie zawrócić się nam w głowie, dopowiedzmy od razu, że najmniejszą część produkcji stanowią łódzkie książki. A i tak bez drukarni dzielowej byłaby niemożliwa egzystencja Wydawnictwa Łódzkiego. Świadczy o tym rozmach łódzkiej bazy poligraficznej. O tym jednak, że ten kolos stoi na glinianych nogach, wiadomo nie od dzisiaj. Sami drukarze przy każdej okazji narzekają na brak części zamiennych, maszyn i urządzeń. Nie znaczy to jednak, że nie się nie zmienia pod tym względem. Gdyby rzeczywiście tak było, produkcja książek spadłaby poniżej wszelkich norm.

Przemysł poligraficzny powoli i systematycznie modernizuje swoje zasoby. Nowe maszyny wypierają stare, zużyte. Nie na tyle jednak zużyte, aby nie miał z nich pociechy właściciel oficyny drukarskiej. On nie będzie przecież drukował na nich wielonakładowych książek. Zamierzenia Jerzego Jankowskiego są o wiele skromniejsze, co nie znaczy, że mniej ambitne.

Jankowski z przejęciem opowiada o starej sztuce drukarskiej, o XVI-wiecznych inkunabulach pięknie zdobionych. Są to prawdziwe wytwory artystów-drukarzy. Nie robi się takich ani podobnych na offsetowych maszynach. Wymagają ręcznej roboty, wolnej i dokładnej, na którą nie ma, niestety, miejsca w poligraficznych gigantach. Tu działają twarde prawa ekonomii. Drukarniom opłaca się robić wielonakładowe, mało skomplikowane serie wydawnicze.

A co z plakatami, muzealnymi folderami, programami teatralnymi, zaproszeniami, wizytówkami? Gdzie je drukować? Oczywiście, u Jerzego Jankowskiego... Przyjmie zamówienie, gdy trzeba — przygotuje projekt, lub — częściej — zleci koledze plastykowi. Nie obrazi się, gdy klient przyniesie swój gotowy projekt. Drukuję sto, dwieście egzemplarzy. Gdy chodzi o klepsydrę, nawet dwadzieścia.

Jerzy Jankowski nie czuły się drukarzem, gdyby nie marzył o wydrukowaniu książki. Zresztą, nie tylko o tym marzy. Ma już przygotowane dwie propozycje... Na razie stara się o czerpanie papieru na okładki z duszniczek papieru. Nie zdradziamy tytułów i autorów, ale sądzimy, że również kolekcjonerzy będą zadowoleni, a na pewno miłośnicy pięknej książki.

Piękna książka... Na jakich maszynach zamierza ją wydrukować Jerzy Jankowski? Na starym radzieckim linotypie, jednej „pedałowce” i jednej pełnoformatowej maszynie. Nie o maszyny jednak chodzi w tym przypadku. Piękna książka, każdy piękny druk wymaga czasu i cierpliwości, a tych nie brakuje właścicielowi oficyny. Nie brakuje mu także talentu, choć wśród łódzkich drukarzy jest wielu ludzi naprawdę utalentowanych w swoim zawodzie. To oni przede wszystkim marzą o przywróceniu właściwej rangi drukarstwu. Może dlatego tak ciepło przyjęli wiadomość o powstaniu oficyny Jankowskiego. Może właśnie dlatego Jankowskiemu starają się pomagać, choćby w składaniu takich czcionek, których on nie ma, w przygotowaniu klisz, czy w odstawianiu papieru o mniejszym formacie, nieprzystatnym w dużej drukarni. Najważniejszą bowiem dla nich sprawą jest owa piękna książka, tak rzadko spotykana na księgarskim rynku. Zdecydowanie za rzadko. Piękny druk nobilituje drukarstwo, potwierdza jego możliwości twórcze. A są one duże, większe nawet niż przypuszczamy.

Na razie na książki z tej oficyny trzeba jeszcze poczekać. Tymczasem z rytmicznie stukających maszyn schodzą informatory muzealne, foldery, afisze, słubne zaproszenia (b. piękne!) i wizytówki. O ich wartości świadczą także coraz liczniejsze zamówienia od osób prywatnych. Coraz częściej w drzwiach barczku przy Zielonej i Hutera stają ci, którzy wybrali tę oficynę z powodu rzetelności i urody jej wydawniczych propozycji. W każdym razie oficyna drukarskiej Jerzego Jankowskiego nie grozi plajta. Ani teraz, ani — miejmy nadzieję — w przyszłości, gdyż — jak twierdzi właściciel — piękne druki zawsze będą potrzebne ludziom...

Mówi Jerzy Jankowski:

„Jeśli miara kultury społeczeństwa jest ilość wydrukowanych książek, to przecież także — powiedzmy to sobie szczerze — miara kultury społeczeństwa jest też w jakimś stopniu ilość wydrukowanych wizytówek... Miara tej kultury jest także artystycznie zaprojektowane zaproszenie ślubne, na którym, obok standardowej informacji, znajduje się i stary sztylet, i fragment poetycki o miłości i małżeństwie...”

Zanik sztuki drukarskiej, typograficznej, ekspansja nowoczesnej sztuki poligraficznej, to po prostu cena cywilizacji. Ale żeby ta cena nie była nadzmiernie wysoka, powinny istnieć właśnie takie oficyny, dzięki którym nie musimy oddawać na złom starych maszyn, mogących służyć całe lata.

Zafascynowani postępem technicznym nieraz niszczyliśmy autentyczne zabytki sztuki drukarskiej. Właśnie w Łodzi w swoim czasie spalono parę ton unikalnych drewnianych czcionek o przebiegłym kroju. Jerzemu Jankowskiemu udało się odrobić tych czcionek uratować. Sądzi jednak, że udało mu się uratować coś więcej — jakiś szczonek starej drukarskiej tradycji. Udało mu się przywołać z dawnych lat zapomniane pojęcia: sztuka i oficyna drukarska.

Superunikat

ANDRZEJ KEMPA

W okresie międzywojennym większość szkół średnich od zachodnich po wschodnie rubieże Rzeczypospolitej uważała za swoją świętą powinność wydawać własne pismo, najczęściej o profilu literackim. Wyteżyły się sztubackie głowy w Tarnopolu i Kołomyi, w mickiewiczowskim Nowogródku i podódzkim Tuszynie, by w nieporadnych wierszach wyśpiewać hymny młodości. Tytuły tych arcydzieł dziś efemeryd były pompatyczne i pospolite zarazem. „Lcha Szkolne” ukazywały się niemal równocześnie w Brześciu nad Bugiem, Chelmży i Czortkowie, w Kaliszu, Łodzi i w Wilnie. „Nasza Mysł” wydawały gimnazja w Krakowie i Sionimie, Stanisławowie, Tarnopolu i Zamościu. Nikt dziś zapewne nie zdołałby bibliograficznie zarejestrować tych wszystkich pism, nie mówiąc o ich wartości literackiej. Wszakże po schyłku II Rzeczypospolitej, a przecież w owych niskonakładowych periodykach zdobywali ograniczony tymczasem rozgłos późniejsi wybitni mistrzowie pióra i zasłużyli pracownicy w różnych dziedzinach kultury, sztuki i nauki.

W samej Łodzi i jej bezpośrednim sąsiedztwie ukazywało się w latach międzywojennych 27 periodyków szkolnych, z których najgłośniejszy „Almanach Literacki”, wydawany w latach 1925-1926 przez Sekcję literacko-artystyczną przy kole naukowym Gimnazjum Męskiego im. J. Piłsudskiego, nie dochował się do naszych czasów. A szkoda, bo publikowali w nim swe utwory twórcy tej miary co Piechal, Limoniewicz i Sowiński.

Niektóre szkoły średnie, dzięki odpowiednim środkom materialnym i emocjonalnemu zaangażowaniu młodzieży, przez długie lata potrafiły utrzymać własne czasopisma. Np. Gmina Uczniów Państwowego Gimnazjum Żeńskiego im. E. Szczygielskiej w Łodzi wydawała w latach 1929-1929 czasopismo „Młodzieńcy Lot” (łącznie 36 numerów), zaś Gimnazjum Państwowe im. M. Kopernika dzielnie mu sekundowało w latach 1924-1925 i 19-1933 intensywnym „Życiem Młodzieży”, którego redaktorem był Kazimierz Korcelli, a następnie Tadeusz Mrozowski.

Stan zachowania szkolnych periodyków w podstawowej swej substancji jest żalostny. Komplety tego rodzaju wydawnictw nie posiada żadna biblioteka w kraju, mimo wprowadzonej w r. 1932 ustawy o egzemplarzu obowiązkowym. Nie ma też do dziś bibliografii czasopism szkolnych, stanowiących niezmiernie ważny dokument do historii pedagogiki, szkolnictwa i życia umysłowego młodzieży tamtych czasów. Doraźne, mocno niekompletne zestawienie sygnalizuje istnienie 310 tytułów owych periodyków, najczęściej efemeryd, powstałych pod wpływem jednorazowego wysiłku grupy młodzieży, krótkotrwałego zapалу nauczyciela-entuzjasta lub ambicjonalnej rywalizacji między zwierzchnictwem szkół.

Tym większe wzbudza zainteresowanie szczęśliwe odnalezienie nieodnotowanego w skrupulatnej ze wszech miar „Bibliografii prasy łódzkiej 1863-1944” pisma młodzieżowego, ukazującego się w latach 1923-1926 zaraniem uczniów Gimnazjum im. M. Kopernika. Brak jest bowiem śladów istnienia tego odziedziczonego w centralnych katalogach prasy polskiej Biblioteki Narodowej oraz w łódzkich zbiorach publicznych.

Leża przed mną trzy numery odwołanego na hektografie misieznika „Nasze Hasło” (rocznik 4: 1926 nr 1-3: styczeń-marzec), wydanego stary-

niem harcerskiej drużyny XV im. Andrzeja Małkowskiego. Czasopismo, noszące podtytuł Miesięcznik młodzieży polskiej, było organem harcerzy z Gimnazjum im. M. Kopernika, zaś redaktorem uczeń tejże szkoły Tadeusz Orzyński. Redakcja mieściła się w lokalu drużyny przy ul. Gdańskiej 29. Cena egzemplarza wynosiła 30 gr. a więc o połowę mniej niż ukazująca się równocześnie „Gazetka Szkolna” — czasopismo Koła Literackiego Gimnazjum Humanistycznego Żeńskiego Heleny Miklaszewskiej.

Zachowane numery pisma, nadgrzyzione zębem czasu, prezentują się zgola nieokazale. Wyblakły fiolet kalki hektograficznej, tekst rękopiśmienny, miejscami słabo czytelny, prymitywne rysunki Łukasza Łapy i wreszcie na okrasie interesujące grafiki Jana Szymańskiego (linoryt „Siewca” i drzeworyt o tematyce związanej z powstaniem styczniowym). Autorami tekstów byli Tadeusz Orzyński, Tadeusz Pawlikowski, Jan Jaster i Stefan Majchrzak. Najciekawsze wydają się artykuły pióra Tadeusza Pawlikowskiego (ur. 1904), dziś emerytowanego profesora zwyczajnego Akademii Medycznej w Łodzi, długoletniego jej rektora, doktora honoris causa tej uczelni i Śląskiej Akademii Medycznej. W jego młodzieńczej twórczości przeważają zainteresowania humanistyczne; od oceny wydarzeń 1863 r. poprzez wykładanie eklezjastycznej filozofii Ludostawskiego, do propagandy zbiorów ludoznawczych i folklorystycznych. Warto tu, właśnie teraz, przypomnieć zdanie z artykułu Pawlikowskiego „Echa laszy polskiej”: „Jeżeli urodził się Polakiem, jeżeli czuje i myśli po polsku, jeżeli kraj, w którym mieszkam — to moja Ojczyzna Polska — choć dla niej pracować i stawać w jej służbie moje siły i życie”.

Młodzi chłopcy z Gimnazjum im. M. Kopernika uczyli w pierwszym numerze pisma setną rocznicę zgonu Stanisława Staszica, przypomnieli strategiczne cechy powstania 1863 r., w kolejnych zaś podejmowali idee pracy organicznej i pacyfizmu powojennego. Stosunkowo niewiele w trzech omawianych numerach pisma problematyki harcerskiej. W numerze trzecim artykuł „Harcerstwo a prasa”, w numerze drugim sprawozdanie z przebiegu obchodu rocznicy powstania styczniowego przez harcerzy z drużyny im. A. Małkowskiego. 24 stycznia 1926 r. o godz. 15-tej dwudziestu druków miało się udać do lasu, by tam, przy ognisku wspomnieć o insurgen- tach, toczących w pobliskim kompleksie lasów ługiewiczskich utarczki z przeważającymi siłami wroga. Okazało się, że na zbiórce stawiło się zaledwie czterech harcerzy, co sprawozdawca uznał za przejaw skarlania potomków powstańców styczniowych.

Podczas pisania tej notatki zatelefonowałem do prof. Pawlikowskiego, jednego z nielicznych już dziś członków ówczesnego zespołu autorskiego „Naszego Hasła”. Okazało się, że w posiadaniu prywatnym ma się jakoby znajdować zbiór luznych numerów periodyku, sam Profesor pamięta wiele szczegółów o latach swej młodości, odległych od dnia dzisiejszego o przeszło pół wieku. Na wieść o odnalezieniu unikalnego czasopisma ożywił się bardzo swym informacjami o losach umarłych i żyjących autorów, obiecał wnieść ważne uzupełnienia do stanu wiedzy o dziejach „Naszego Hasła”.



Foto: M. Zajdler

W pamiętniku Bożenki, córki Ewy, jest to ośmiestnastka jej serca. Bożenka opowiada w nim o swoich przeżyciach, pierwszej miłości, kłopotach domowych, uważam ten pamiętnik za jeden z najlepszych podarunków jakie kiedykolwiek otrzymałem, wszak jest to dowód zaufania! znajduje rozdział poświęcony tej matce. Bożenka pisze: „Mama nam śpiewała codziennie kołysankę, która zapamiętała z lat wojny. Słowa tej piosenki zostały w naszym domu na zawsze. Weszły one do naszego życia. Prosiłyśmy co wieczór mamę: zaśpiewaj nam o Wojtusiu. A mama pochylała się nad naszym łóżkiem i cicho nuciła: Na Wojtusia z popielnika iskiereczka skacze, ehodź! ehodź! bajkę ci opowiem, Niech dziecko nie płacze. Idzie żołnierz borem lasem przez gościńce krwawe, patrzy, czy wypatrzy, kiedy już Warszawa! Polskie wojska z nieba lecą, wokół wojna straszna, patrzcie, już za wsią lądują cyt... iskierka zgasa. Usnął Wojtuś przy matuli, wokół noca ciemna. Tatusi listy śle z obozu, wytrudaj, synku, dzielnie!

Mama mi powiedziała, że ta kołysankę napisała Zofia Solarzowa. Mąż Solarzowej — Ignacy, był znanym działaczem oświatowym i społecznym. Przed wojną prowadził w Gaci uniwersytet ludowy. Przez telewizję nadano kiedyś audycję o uniwersytetach, z udziałem Solarzowej, która wydała mi się bardzo miła. Włosy zaczęły się gładko, mama mówiła, że Solarzowa dawniej miała włosy upięte wysoko, otaczała warkoczem głowę jak koroną. Mama spotkała się raz w czasie wojny z Solarzową. Jakże pięknie w tej audycji mówił! Z jakim zapałem! Z jaką siłą! Budowała zdania proste i jasne. W tej audycji ona wypadła najlepiej. Obraz, jaki widziałam na ekranie, zgadzał się z tym, jaki o niej zostawiła mama. Dobra, schlachetna i mądra. Co ciekawe, w portrecie Solarzowej zobaczyłam obraz naszej mamy!

Nie rozmawiałam z Ewą na temat tej kołysanki. Ewa już nie ma między nami i dopiero teraz widzę, ile spraw ze sobą nie omówiliśmy. Tak jak z ojcem i matką, którzy dawno odeszli. Zostały pytania, na które sami próbujemy dać odpowiedź. Sprawa kołysanki wydaje mi się istotna. Początkowo przypuszczałam, że do rąk Ewy trafił w czasie wojny jeden z numerów pisma „Żywie”. Była tam drukowana ta piosenka. Potem Melania wyjaśniła mi, że Ewa roznośła „Żywie” po wsiach. Była jedną z kolporterów. Kiedy jej matka nie chciała się zgodzić, aby Ewa mieszała się „w te roboty” („Mój Boże — krzychała — co to będzie, jak cię schwytają! Nie przeżyje tego”), Ewa, jak twierdzi Melania, miała odpowiedzieć: „Niejedno, mamusi, przeżyła! Mnie nie będzie. Bo ani Niemcy, ani nasi, którzy są przeciwko nam, mnie nie zajądą. Kto będzie mnie podejrzewał o konspirację, jeśli się dowie, że jestem twoją córką?” „Wyrodiłaś się!” — mówiła oburzona matka. „Może i prawda. Ale nie przestajam być twoim dzieckiem”. Jesteś nieznosna. Gdybyś nie była twoją mat-

ką, nie wierzyłabym, że należysz do mnie”. Mylisz się — odparła Ewa — Myślisz, że nie wiem, że co miesiąc dalej wypchana kopertę pewnemu człowiekowi, który powiedział, że nazywa się Sosna. A taki on Sosna, jak ja Jodla. Może to idzie na Czerwony Krzyż? „Nie na Czerwony, a na Zielony” — wyjaśniła matka. „A widzisz!” — powiedziała z triumfem Ewa. „To zostało wymuszone na mnie. — Matka nie potrafiła ukryć swej złości. Chodziła po pokoju i załamywała ręce. — Przyszli tu i zagrozili mi pobiciem. Muszę im dawać”. „Wszystko jest wymuszone” — odparła Ewa. — Całe nasze postępowanie jest wymuszone. A wiesz co? — dodała. — Tego Sosne, to ja ci naśląm”. „O. Boże!

TADEUSZ PAPIER

Opowieść o uroku, czyli o EWIE — JODLE

matka chwyciła się za głowę. — Ty mnie do grobu wpedzisz!” „Sprawa była trochę zagniewana — ciągnęła swą opowieść Melania. — Co tu dużo gadać. Wiesz przecie, że Ewa pochodziła ze dworu. Jej matka była dziedziczką. Byli różni dziedzice, to prawda. I żli, i dobrzy. Ale już sama nazwa wzbudzała nieufność. Pomiędzy dworem a wsią nie było nigdy ugody. Tak twierdził mój dziadek. On był przeciwko dworowi. A jak była zgoda, to fałszywa. Toteż kiedy pewnego dnia Ewa przyszła do nas po raz pierwszy, myślałam początkowo, że to jakaś dziewczucha do Bronka. Bo ten haban hulał wtedy na całego. Kaziu też sobie nieźle poczynił, ile to miałam skarg na niego od sąsiadów, ale Kaziu w tym czasie był jeszcze dziecuchem. Dałabym ja mu amory! Dziewczyna (wydała mi się mizerna, chuda) zapytała wprost: „Czy ciocia Melania?” „Tak” — odpowiedziałam. — Czego chcesz?” „Przysłała mnie tu Sep”. Udałam zdziwienie. „Sep? Nie znam żadnego Sepsa”. „Niech ciocia będzie spokojna — odparła. — Miał tu przyjść Jutrzenka, ale Jutrzenka zachorowała. Więc mnie przysłał. Przynosłam „Żywie”. To mówiąc wyjęła z torebki opakowaną paczuszkę. Jestem „Jodla” — dodała. W ten sposób poznałam Ewę. Potem przychodziła kilka razy jeszcze. Dowiedziałam się w końcu, skąd się wywodziła, ostrzegając Bronka i Stefana, lecz oni oznajmili: „Jeśli Sep ja przysłał, to wszystko musi być w porządku. Nie martw się, mama. Sep dziesięć razy przyjrzy się ziarnu, zanim je dziobie”. Zauważyłam, że Bronka zaczyna się kręcić koło Ewy. „Cóż to, mówiłam do niego, śnij ci się pańskie pokoje?” „Co ty, mamal — zawołał oburzony Bronka. „Myślisz, że nie widzę? Znam cię za dobrze, habanie. Żebyś nie przejrzała twoich myśli!” Bronka się wymawiał, lecz co widziałam, to widziałam. Mo-

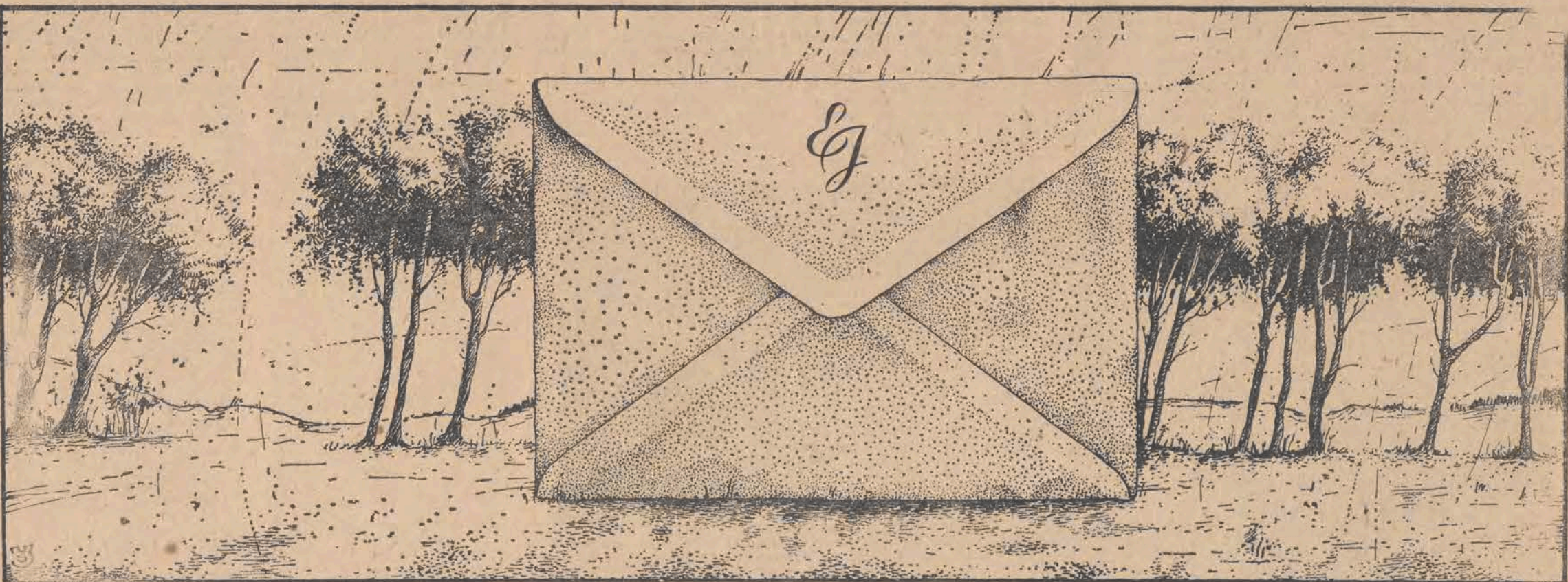
że by i co z tego wyszło, bo nie było przypadku, żeby Bronkowi jakaś dziewczucha odmówiła, gdyby nie to, że Ewa miała już chłopaka. Jednego dnia Bronka mi powiedział: „Możecie spać spokojnie, mama, ona ma narzeczonego”. „Kto to taki?” — zapytałam. — „Taki od tytoniu. On tu się kręci w naszych stronach. Ale kim on jest naprawdę, to trudno powiedzieć. Dzisiaj wszyscy mają nie swoje zawody”. Melania twierdziła, że po raz ostatni w czasie wojny widziała Ewę na przedstawieniu, które urządził Piotr z okazji Święta Ludowego. Piotr dwa razy organizował takie uroczystości. Pierwszy raz na Boże Narodzenie, wystawił wtedy Pastorałkę, a drugi raz na Święto Ludowe. Przedstawi-

Ze Polska trwa!
Biją nam serca młotem
czekania
Mów — kiedy?
Z roli cmentarnej rola się
wylania
Do siejby,
Jeszcze dłoń prawa dźwierzć
będzie ciężko
Karabin,
Już lewa sięgnie do płachty po
chlebny
Zbożowy nabój.
Od bruków miast,
skrawionych dróg,
Od trupów wleczonych przez
chat chłopskich próg
surowe powstaje męstwo
Nasze zwycięstwo!

Nie muszę ci tłumaczyć — mówiła Melania — jaki ten wiersz wzbudził poruszenie wśród słuchaczy. Ewa się roz-

— nikt by w tobie nie wzbudził żadnej myśli. Na kamieniu nie rości się żyto ani pszenica. Uroki innych nas bogactwa, ale jednocześnie zaświadcza, że sami jesteśmy ubożsi i spragnieni poznania czegoś lepszego. Twoje ubóstwo sprawia, że chcesz wszystkiego, co cię zadziwia, jak wyschnięta ziemia pragnie wody i rosy. Ale uroki nie rodzą się ze zła, tylko z dobra. Szatan też się pełni uroku, a mimo to, choć może to człowieka pociągać, jak mego Bronka czy Kaźka, czy nawet ciebie, nie zaprzeczaj, habanie, to z takim urokiem długo nie pożyjesz. Zaraz zacznie ci coś dokuczać i niepokoić w środku. Człowieka dobrego nie raz trudno jest odróżnić od złego, bo zły się potrafi maskować. Ale

darowania, i akcentem. Mówią jakby po góralsku. W Skale Gienek zaprzyjaźnił się z nauczycielem. Jasiem Pękala. Razem przegadali wiele godzin o wojnie. „Cóż to były za rozmowy — opowiadał Gienek — Pękala był w tym samym wieku, co i ja. Mówił szybko, nieco ze śpiewnym akcentem, jakby pochodził z Kresów. Niektórzy ludzie mają taki akcent, chociaż urodzili się w środku Polski. Jaś miał zwyczaj niemal w każdym zdaniu używać zwrotu: nieprawda? „Nieprawda — mówił — z Niemcami wkrótce koniec. To niemożliwe, aby oni podolali całemu światu. Gdyby Francuzi byli mądrzejsi w trzydziestym dziewiątym, dawno byłoby po wojnie. Ruszyliby z zachodu, my ze wschodu i z Hitlerem kaput. Ale i tak czeka ich smutny koniec, nieprawda? My też się do tego przyczyniamy, nieprawda? Musimy im na każdym kroku przeszkadzać. My, Gieniu, jeszcze im pokazujemy, nieprawda?” Niestety, Jaś nie doczekał końca wojny. Aresztowali go i rozstrzelali. Gienek musiał znowu uchościć. Tym razem trafił do wsi, w której mieszkała Ewa. Musiał się z nią spotkać, bo na prowincji, jak mówił Gienek, coś za towarzysystwo? Książę, lekarz i aptekarz. Przy pierwszej sposobności spotkał brata Ewy, który grał na mandolinie w karcie. Umówili się na brydża, i tak się zaczęło. Gienek otrzymał zajęcie jako instruktor tytoniowy. Jeździł po wsiach, uczył chłopów uprawiać tytoń. „Nie miałem o tym zielonego pojęcia, ale mądrzej głowie doszło do słowa. Wkrótce mogłem udzielać lekcji fachowcom”. Z Ewą wziął ślub w roku 1942, w miejscowym kościele, do którego matka Ewy ufundowała piękne witraże. Dzisiaj można jeszcze podziwiać wymyślne rysunki witraży. Kto je malował, Gienek nie wie. Są trzy witraże. Przedstawiają Chrystusa i apostołów. Przeważają kolory: czerwony, zielony i błękitny. Postać Chrystusa jest umieszczona w środkowym witrażu. Chrystus podnosi rękę, jakby błogosławił kłęczącym apostołom. Na sąsiednim witrażu widać Piotra, który kładzie rękę na głowie Chrystusa, a na drugim Jana z pochyloną głową. W czasie ślubu Gienek często spoglądał na te witraże. Po latach Gienek i Ewa odwiedzili tamte strony Ewa już wtedy zaczynała chorować, ale nikt nie zdawał sobie sprawy, co to za choroba. Miałam czasami nudności, to znowu chwytali ją bóle w żołądku. „Miałem niedobre przecucie” — mówił Gienek. — „Wracał mi z Krynicz i powiedziałam do Ewy: może skoczmy na twoją ojcowiznę? Przypomni mi sobie dawne czasy”. „Dobra jest!” — powiedziała Ewa. To było jej ulubione powiedzonko. Poszli najpierw do kościoła, w którym brali ślub, Ewa przytuliła się do Gienka. „Mój Boże” — szeptała Kościół ocalał, ale wydał im się inny, niż kiedyś. „Coś tu się zmieniło” — westchnął Gienek. Kościół świeżo odmalowany. Zniknęły gdzieś stare obrazy i chorągwie. Na ścianach były malowidła. Wstawiono nowe ławki. Gienek ujął żonę pod rękę. Mówił cicho: „Za bardzo zmienił się. Gdyby go zastawili takim, jaki pamiętam, byłby ładniejszy. Gdyby nie te witraże, myślałabym, że to in-



Rys. Janusz Szymański-Glane

ny kościół". „Nie nie zostało z tamtego nastroju — użalała się. — Kiedyś był o wiele przystępniejszy. Pamiętasz organistów, który basem nam śpiewał Veni creator? Moja matka, jak rąbkami chustki ocierała oczy? Plakała nie ze wzruszenia, raczej ze złości. Bo ona niechętnie patrzyła na ciebie. „Syn kolejarza, mówiła. Któż to taki? Czy aby dobrze robisz, wychodząc z niego?" Wiesz, jaka była. „Jak będzie niedobry, powiedziałam do niej, to go zamienię na innego". „Co ty pleciesz, jak możesz tak mówić?" — oburzyła się. Pamiętasz, kościół był pełen zaproszonych gości. A pod chórem zgromadzili się wiejscy, jak się ich u nas nazywało. Pod tym filarem stał Sep. Jakież to był człowiek! Mogę powiedzieć, że dzięki niemu żyję. On otworzył mi oczy na świat. Pamiętam pierwsze spotkanie z Sepem. A raczej pierwszą zasadniczą rozmowę. Siedział przez wieś i Sep mnie zaczepił. „Panienska mi się podoba — rzekł bez wstępu. — Panienska jest uczynna, pomaga ludziom. Słysz, co pani mówi w domu. Panienska jest inna. Jest pani nasza. Wiem, że dziadek i babka pani nie lubią. Może nam pani jeszcze lepiej pomagać". „Co mam robić?" — zapytałam wtedy. „Proszę wpaść do mnie. Poznam panią z ludźmi". I tak się zaczęło.

Po wyjściu z kościoła spotkała starszą kobietę. Sza podpierając się jaską. Mogła mieć ze sześćdziesiąt lat. „Państwo czegoś szukają?" — zapytała. „A tak. — Gienek uśmiechnął się. — Szukamy i nie szukamy. Szukamy wspomnień". „Tych wszędzie pełno — odparła kobieta. — Idą wszędzie za człowiekiem". „Czy pani pamięta dziewczynę ze dworu? Miał pseudonim Jodla" — zapytał Gienek. „Jodla? Ach tak. To była Ewa. Ewula, jak ją nazywał pewien tabacorz, który koło niej się kłócił. Wzieli ze sobą ślub". „To ja jestem Jodla" — Ewa wyciągnęła rękę do kobiety. „A ja ten tabacorz" — dodał Gienek. Kobieta zawołała: „Ze ja was nie poznałam! Gdzie miałam oczy! Toć to Ewunia! A ty, no tak — Gienek! No, patrzcie ludzie!" „A ty jesteś Gasiórówna — Jutrzenka" — Gienek nie ukrywał swojej radości. „Już nie Gasiórówna, a babka Michalina" — zaśmiała się kobieta, po czym rzuciła się w objęcia Ewy. Zabrała ich do swego domu. Trudno uwierzyć, ale to był ten sam dom, do którego tak często przychodziła Ewa. „To już stareńki dom — westchnęła Michalina. — Wymienił się tylko dach". Przed oknami był sad ogrodzony wiklinowym płotem. „Lubie wiklinę — zwierzyła się Michalina. — Jak się grodzi płot, a co niektórzy ped wsadzi do ziemi, choćby przypadkiem, za jakiś czas na pedzie pojawiają się listki. Zdjaje się, jakby się same rodziły. Dlatego płoty robie tylko z wikliny". Twarz Michaliny postarzała się, jak wszystkie twarze, którym przybywa lat. Lecz kiedy zasiedli do stołu, na którym pojawiły się zaraz świeżo kiszona ogórek, masło i chleb, nawet spory kawał kiełbasy i półlitrowa butelka zimnej wódki (dawny mawiano: najlepsza wódka jest u Gasióra; nie za słodka, trochę ciępa, a zawsze zimna, bo gospodarz chłodzi ją w źródle, za domem), Gienek podniósł kieliszek do góry. „Za twoje zdrowie, Jutrzenko. Nie zmieniasz się wcale. Czy bystre jak dawniej. Spójrzcie tak samo przenikliwe jak wtedy, kiedy mnie wypytywałaś, a kto ja jestem, a skąd przybywam, a co robią moi rodzice. Kiedy odpowiedziałem, że ojciec jest kolejarzem, wyraźnie się ucieszyła". „Kolejarz to kolejarz — zauważyła Michalina. — Wolalam, że do nas przyszedł syn kolejarza, niż nie wiadomo czyj". Michalina była już na rencie. Gospodarstwo oddała córce i dzieciom, którzy pobudowali się w pobliżu. „Renta marna — zaczęła się zwierzać — ale jest mi wygodnie. Ziemia została w swoich rękach. A beże mnie nie potrafią się obyć. Mają już trójkę dzieci, najmłodsza wnuczka ma cztery lata. Jak się tu poradzi bez babki?" Michalina chciała ich koniecznie zaprowadzić do córki, ale Ewa pragnęła zobaczyć dwór. Jak on teraz wygląda? „Nie masz po co tam chodzić — ostrzegła ją Michalina. — Wszędzie jest w ruinie".

Dom stał w dużym parku. Był kiedyś bardzo ładny. Zbudowany z drewna, miał obszerną werandę i ganek wsparty na czterech słupach. Na dachu, pokrytym gontem, tu i ówdzie zieleniły się mech. W głównym budynku było siedemnaście pokoi, w tym jeden, jak mówiła Ewa, wyjątkowo uroczny, tak zwany złoty salonik. Stylowo urządzony: stolik i krzesła z

rzeźbionymi nogami, ściany były pokryte złotą tapetą i marmurowy zegar na stoliku w rogu. Tu goszczono najbardziej zaprzyjaźnione osoby. Dwór odwiedzali chętnie politycy, pisarze, malarze. Gdyby otworzyć te rozmowy, zabawy. Niestety, nie ma już świadków tamtych wydarzeń. Mówiono, że matka Ewy interesowała się nawet ktoś z rządu. Chciał się z nią żenić, ale matka go odrzuciła. Spośród ralarzy przeżywał tu Siemiradzki. Każdy z odwiedzających zostawił po sobie jakąś pamiątkę. Ewa powiada, że Siemiradzki zarysował węglem pół ściany w jednym pokoju. Obrazu wprawdzie nie widziała, nie pamiętała też malarza, bo działało się to jeszcze za życia babki, ale z opowieści matki wynikało, że był to żart Siemiradzkiego: artysta naszkicował jakieś postacie antyczne na tle krajobrazu. Szkoda, że te ściany przy odnawianiu pokryto inną farbą. Przy domu rosły dwie strzeliste jodły. Ewa przesiadywała kiedyś długie godziny na ławeczce pod drzewem. Pod jodłą najlepiej się myśli, mówiła. To drzewo przywodziło na pamięć święta Bożego Narodzenia. Zawsze wtedy w domu była jodla, ubrana w kolorowe świecidełka. Zapach igliwia rozchodził się po całym pokoju. „Jodla to drzewo zdrowe" — mówił ojciec Michaliny — Gasiór, który we wsi pełnił rolę zielarza i znał się na drzewach i ziołach. Przychodził na „pogaduszki" z panią. Siedział obok niej na ławce, zapalał papierosa i opowiadał o drzewach i kwiatkach. Był często wzywany do dworu jako „lekarz". „Z jodły można zrobić różności" — mówił do Ewy. — Zbierz w czerwcu młode szyszki, posiekaj i wygotuj, a otrzymasz olejek żółtawobrunatny, o zapachu balsamu. Smak ma korzenny, z początku łagodny, potem pali w ustach. Dolej kilka kropel do rozcieńczonego spirytusu, a otrzymasz napój, który da ci zdrowie i przyniesie radość. Jak cię łamie w kościach, natrzyj sobie nim ciało, a poczujesz zaraz ulgę. Młode pędy jodły, tak jak pędy świerku, pomagają przy warzeniu piwa. Piją kiedy pivo jodłowe? No, to u starego Gasióra skosztujesz. To jest dopiero piwo, takiego drugiego w świecie nie ma. Nawet twój dziadek takiego nie pija. A kora młodych jodełek służy do garbowania skór. Jak widzisz, jodla cieszy oko, ratuje zdrowie i przynosi korzyść gospodarce. Jak tu nie kochać takiego drzewa?"

Były w parku i inne starusienkie drzewa: dęby, graby, buki. Po wojnie wycięto je — wspominał kiedyś Gienek na spotkaniu rodzinnym. — Nie ma dawnych drózek i alejek biegnących wśród krzewów i zakrętych gąszczy drzew. Budynki jeszcze stoi, choć jest mocno zniszczony, ale bez werandy. Nie ma obrazów, które gdzieś po świecie wędrowały. Pokoje są odarte z tapet i bez parkietów. Dom służy dzisiaj jako magazyn spółdzielczy. Gienek się oburzał, że nastąpiła tu „nieuporządkowana rewolucja". Bo należało zmienić właścicieli, ale nie niszczyć dobyteku. Ten dobytek trzeba było chronić, aby służyć innym. Michalina, która im towarzyszyła wtedy, westchnęła: „Mój ojciec plakał, kiedy zobaczył, jak to się wszystko niszczy. To jest bardzo głupie, mówił". A Sep, który zaraz po wojnie został komendantem milicji, ścigał ludzi, którzy to i owo zabrali do siebie. Niejedną rzecz oddał do powiatu. Jeden stangret, znał go. Ewunia, przeżywała go „Jaś nie ma nie", bo zwykł był mawiać do każdego kogo chciał naciągnąć, że Jasio nie ma nie, zabrali z ogrodu posag Matki Boskiej i ustawił go w swoim sadzie. Nawet ładnie tam posagowi się stało. Sep przyszedł do Jasia i chciał odbierać posag, Jaś upadł przed Sepem na kolana i zawołał: „Panie władzo, za swoją służbę nie mam nic, zabrałem tylko z dworu bat, niech to mi zostanie. Bardzo mi się podoba ta figura. Jest jak żywa. Niech pan sam zobaczy. To nie kamień. To sama piękność. Ona przecież oddycha. Proszę, panie władzo, o tę figurę, zrzeknę się ziemi, była ta Matka Boska u mnie była". W gminie pozwolono zatrzymać Jasiovi posag, lecz i ziemię, iaka mu z reformy przypadała, otrzymał. Nie masz czego tu szukać, Ewunia!"

(Fragment nowej powieści przygotowywanej do druku)

Rola i ranga filharmonii

Rozmowa z ANDRZEJEM MARKOWSKIM



Foto: M. Zajdler

— Środowisko łódzkich melomanów powitało z zadowoleniem objęcie przez Pana naszej filharmonicznej placówki, a także — z nadzieją, że to co dobre będzie zachowane, to zaś, co nas jeszcze nie zadowala zostanie udoskonalone. Pańska decyzja pracy u nas doceniamy jeszcze i dlatego, że zdajemy sobie sprawę, iż stały kontakt z łódzkiego orkiestrą w Groningen jest dla Pana ze wszech miar korzystny. Musiał pan jednak odczuć, że oba pańskie koncerty przyniosły łódzka publiczność jako artystyczne wydarzenie. Ufam, że ma Pan szczerą zamiar zapoznawać się naszą filharmonią w miarę systematycznie i nie na krótko...

— Nie wiadomo nigdy, co przyniesie jutro, a jednym z czynników, do których przywiązuję wagę jest atmosfera w środowisku szeroko pojętym, tj. nie tylko w zespole artystycznym, choć to oczywiście jest najważniejsze. Są wypadki u nas w Polsce, że kierownicy artystyczni dość długo się utrzymują na stanowisku, co ma swoje plusy w odniesieniu do realizacji programu artystycznego i w ogóle osiągnięcia zamierzonych celów. Co do mnie, to jeśli zdrowie pozwoli, chciałbym uzyskać na początku realne, choćby niewielkie zmiany, jako wstępna zapowiedź istotniejszych zmian w przyszłości. A więc najpierw — warunki pracy. Wiele pan chyba, jak młodsze są uposażenia muzyków orkiestry symfonicznej, skoro nawet pensja koncertmistrza nie osiąga obecnie średniej krajowej płacy. Oczywiście, myślę głównie o dobrych muzykach, których mamy w orkiestrze wielu. Podobnie zbyt niskie są stawki honoracyjne, co wywiera ujemny wpływ na pozyskiwanie wybitniejszych solistów, choćby tylko krajowych. Ale co już mogę odmówić z zadowoleniem, to gotowość i dyscyplinę zespołu, który, jak to w filharmoniach, musi co tydzień dawać premię. To naprawdę bardzo ciężka praca.

— Jest Pan więc, jak na początek, raczej dobrej myśli... — Jeszcze Panu nie wylizyłem całej listy kłopotów. Na przykład — instrumenty, których stan, zwłaszcza dętych, nie jest dobry, a perkusja się i takie, które po prostu nie nadają się do grania, z perkusją też kłopot, a smyczkowe również odczuwają różne braki, a to z wiosem, a to z kalafonią.

— Można by co prawda dodać, że na tzw. zachodzie, czyli w krajach kapitalistycznych każdy członek orkiestry sam troszczy się o to, żeby mieć na własność dobry, pełnosprawny instrument.

— No i dobrze, że w naszych realiach nie musi mieć własnego, ale tak całkiem dobrze byłoby dopiero wtedy, gdybyśmy mogli muzykom dać do dyspozycji należyte instrumenty, co ma swoje, jak wiadomo, mocno kosztowne, i to przeważnie w „twardych" walucie.

— Czy to już wszystkie wstępne kłopoty?

— Teraz by trzeba o kadra. Ale ja mam chyba nieco inne spojrzenie na tę sprawę, niż to, które się najczęściej u nas spotyka, nie dramatyzuję bowiem samego faktu, że mamy tak znaczny od szeregu lat odpływ muzyków z Polski za granicę, czemu w naszych warunkach trudno zresztą zapobiec. Rzecz jednak w tym, że na miejsce tych, co z różnych powodów i w różnych kierunkach odchodzą, powinni napływać do orkiestry nowi, którzy ich zastąpią. I tak powinno być, skoro mamy tak potężne szkolnictwo muzyczne, stworzone po wojnie z ogromnym wysiłkiem, a ono zawodzi. Gdy nie stanowi tej rezerwy kadrowej, jaką mogłoby i powinno być. Po prostu nasze szkoły również wyzyska, nie kształcą instrumentalistów we właściwym kierunku, nie zapewniają im dostatecznych umiejętności orkiestrowych, kształcą bowiem pod kątem ewentualnej solistycznej kariery, która w praktyce staje się udziałem bardzo niewielu. Doszło do tego, że ambicja pedagoga jest wysłanie ucznia po dyplom na konkurs muzyczny. No i jedzą młodzież, ten i ów zdobywa laury, co jednak z pozostałymi dyplomantami?

— Ale może nie jest w tym winą pedagoga, jeśli ich awans zawodowy, ich nagrody i odznaczenia związane są właśnie z wirtuozowską karierą ucznia, a przynajmniej z sukcesem w konkursie, który nie zawsze gwarantuje późniejszą karierę, nikt natomiast nie premiuje pedagoga za wieloletnie i regularne dostarczanie orkiestrom rzetelnie przygotowanych instrumentalistów, włącznie, czy to ktośkolwiek zauważa.

— Toteż nie winię bezpośrednio pedagoga, lecz raczej program kształcenia, nie odpowiadający społecznym potrzebom. A przy tym proszę wziąć pod uwagę i to, że ów laureat konkursu, a więc muzyk zazwyczaj uzdolniony, wcale nie kwapi się, by zasiąść przy pulpici orkiestrowym, jakby miał sobie to za ujmę.

— Nie dziwię mu się, że po konkursowym sukcesie przez uparcie do kariery wirtuozu i nie chce zamykać sobie do niej drogi przez „zagwożdżenie" się w orkiestrze. Każdy żołnierz u nas nosi butlaw marszałkowską w tórniście, każdy kleryk widzi się w biskupich fioletach, a ostatnio pewnie wybiega wyżej.

— Ależ to jest nieporozumienie, w każdym razie jeśli chodzi o muzyków. Czy mam panu przytoczyć nazwiska ananych solistów,

kilku — godzi i godzą pracę w orkiestrze z koncertowaniem? A jeszcze i to chce powiedzieć, że ten uzdolniony solistycznie młody muzyk na ogół nie potrafi sprostać wymaganiom orkiestry.

— Na czym więc rzecz polega?

— Na tym, że kiedy zgłasza się u nas na przesłuchanie do orkiestry symfonicznej skrzypek prosto po szkole, to prezentuje swoje umiejętności lepszym czy gorszym wykonaniem powiedzmy „Mittów" Szymanowskiego, ale nie ma przygotowanego repertuaru orkiestrowego, czyli nie zna tych partii dla swojego instrumentu, które wchodzi w skład żelaznego repertuaru programów koncertowych filharmonii, a nierzadko nie jest nawet dostatecznie osłuchany z repertuarem symfonicznym, żeby móc rozpoznawać podstawowe utwory, grywane na co dzień w filharmoniach całego świata. Mamy więc do czynienia z nieznaną literaturą orkiestrową i zazwyczaj niedostateczną, jak na potrzeby pracy w orkiestrze, umiejętnością sprawnego czytania nut a vista. To nie może być tak, że się tego ma uczyć dopiero w orkiestrze.

— Muszę Panu przypomnieć, że niejedną młody muzyk spoza zespołu orkiestrowego gorzej rozpoznaje znane utwory od wyrobionego melomana. Rzadko też, jak się zdaje, młodzież muzyczna chodzi na koncerty, co bywało regułą dawniej. Ale podobno młodzież studiująca nie ma na to czasu.

— Program szkolny powinien być tak ułożony, żeby młodzież miała na to czas, powinna nawet mieć obowiązek odwiedzania sal koncertowych. Przede wszystkim jednak chodzi o kierunek praktycznego kształcenia, uwzględniający fakt, że właśnie orkiestry stanowią miejsce pracy dla bardzo znacznej części absolwentów szkół muzycznych. Zresztą kształcić muzyka należy wszechstronnie, również na potrzeby kameralistyk, a robi się to niewystarczająco.

— Rzeczywiście, można by odnieść wrażenie, że ułożono kierunek praktycznego kształcenia wokalistów i instrumentalistów. Pedagog wokalista musi kształcić ucznia na śpiewaka solistę, i to głównie dla scen muzycznych, nie zaś na chórzystę. Może ktoś kiedyś tego nie domyślał do końca i tak już zostało, na zasadzie jakiejś inercji. Rozumiem, że Pan ocenia sytuację od strony potrzeb orkiestry i nie pańska jest rzeczą opracowywanie programu dla szkolnictwa. Ale jednak, skoro zetknął się Pan w różnych krajach z lepszym przygotowaniem orkiestrowym młodych muzyków, niż to jest u nas, może dostrzegł Pan jakieś działania, jakieś metody u nas nie znane...

— W wielu krajach na użytek muzyków, zarówno kształcących się — jak i uprawiających zawód instrumentalisty wydaje się „studia orkiestrowe", czyli materiały nutowe zawierające jakby przekrój podstawowego repertuaru orkiestrowego, w postaci fragmentów najważniejszych czy to pod względem muzycznym, czy technicznym i każdy stara się jak najwięcej z tego opanować. To się bardzo przydaje.

— Okazuje się, że hasło „kadry" nakierowało naszą rozmowę na tematy pedagogiczne. Ale co Pan konkretnie zamierza przedsięwziąć w sprawach kadrowych naszej orkiestry?

— Będę zabiegał o pozyskiwanie nowej, uzdolnionej kadry, dającej rękojmię dalszego podnoszenia poziomu wykonawczego orkiestry.

— Ale przyjmowanie dobrych podlega za sobą usuwanie gorszych. Czyba Pan zdaje sobie sprawę, ilu obrońców znajduje zaraz każdy, komu się wykaże, że się nie nadaje?

— Nie mam żadnych intencji ani planów kadrowej „czystki", chodzi mi przede wszystkim o stworzenie takich warunków, które sprzyjałyby jakościowemu wzmacnianiu stanu osobowego orkiestry i stwarzałyby bodźce do doskonalenia umiejętności i utrzymywania się na odpowiednim poziomie przez wszystkich, żeby każdy chciał i mógł dawać z siebie wszystko.

— Jak z tego niezbitnie wynika jest pan maksymalistą. Czy również w odniesieniu do polityki repertuarowej?

— Przy obecnych możliwościach dewizowych z niejednej cennej pozycji trzeba będzie oczywiście zrezygnować. Sporo z nowszej muzyki pozostanie dla nas w najbliższych latach praktycznie niedostępnej, w znacznej mierze będziemy więc budować repertuar na wielkiej klasyce, która też nie jest w całości bezdewizowa. Zresztą w wielu krajach nie mających kłopotów z dewizami, wielka klasyka stanowi również podstawę repertuaru i to również tam gdzie publiczność jest bardziej wyrobiona muzycznie niż u nas. Najbardziej znane orkiestry europejskie — czy to w Niemczech zachodnich, Wielkiej Brytanii czy Holandii odczuwają skutki pogarszającej się sytuacji ekonomicznej, bo wszędzie przeprowadza się oszczędności na kulturze, która zawsze pierwsza pada ofiarą, co jest według mnie polityką krótkowzroczną.

— Czy jednak konieczność oparcia się głównie na klasyce nie ma swoich dobrych stron z uwagi na edukację muzyczną społeczeństwa?

— Muzyka klasyczna i współczesna jest w odpowiednich proporcjach, jednakowo potrzebna nie tylko publiczności, lecz również orkiestrze, a ograniczenie repertuarowe do wąskiego kręgu pozycji dawniejszych lub nowszych grozi w dłuższej perspektywie czasu niepożądanymi, zbyt częstymi powtórkami i pociąga za sobą zastój w życiu muzycznym. Nie wiem czy jestem maksymalistą, mogę tylko powiedzieć, że nie unikając utworów przystępniejszych dla słuchacza, lecz wartościowych artystycznie zamierzam oprócz programu przede wszystkim na dziełach wybitnych, pobudzających do głębszych doznań. Taka jest, moim zdaniem, rola i ranga filharmonii.

— Nie wierzy Pan więc w umiarkowanie publiczności na drodze stopniowego „podprowadzania" jej przez banalne utwory pod wysokie progi muzyki artystycznej, zwanej poważną?

— Nie, nie wierzę, choć wypełniają one, jak każda rozrywka, swoje miejsce w życiu społeczeństwa.

— A co sądzi Pan o innych sposobach umuzykalniania, jak np. koncertach z słownym komentarzem lub w specjalnej oprawie — w nastrojowych wnętrzach, stylowych kostiumach czy przy świecach?

— Można i należy chwycić za różny sposób przyciągania społeczeństwa do muzyki, sam też różnych w swoim życiu próbowałem, ale to nie jest zadanie koncertów symfonicznych placówki filharmonicznej, gdzie powinien człowiek skupiać się wyłącznie na słuchaniu. Nie chodzi mi o jakąś przesadną celebrację, wychodzącą prosto z założenia, że niemal każdy człowiek ma gdzieś tam w mózgu zakodowaną wrażliwość na sztukę i teoretycznie jest szansa, by chęć obocowania ze sztuką w człowieku wyzwolić. Dla muzyki chcę pozyskiwać przez muzykę, dobrą i należyte wykonywaną, zarówno przez zespół — jak i solistów i dyrygentów. W ich właściwym doborze widzę też jedną z dróg budowania wysokiego poziomu artystycznego filharmonii, bo nie wolno, jak to się nieraz dzieje, pozostawiać przypadkowi angażowania artystów na gościnne występy. Na zasadzie, że akurat ktoś tam w danym terminie może do nas przyjechać i w dodatku z niewiadomym do ostatniej chwili programem. Uważam, że niekiedy lepiej nawet zupełnie zrezygnować z terminowego koncertu, niż ryzykować coś o nie znanej lub wątpliwej wartości. Będziemy starali się wspólnie do tego dążyć, wspólnie z moim zastępcą artystycznym Zdzisławem Soszalskim i dyrektorem placówki Kazimierzem Mikołajczakiem. Sądzę, że we wszystkich sprawach, które powinny nam wspólnie leżeć na sercu potrafimy znaleźć wspólny język.

— Brzmiał to prawie jak końcowy akcent rozmowy, ale chciałbym jeszcze wrócić do sprawy poruszonej na początku. Mówiąc o tym, iż liczymy na pańską systematyczną pracę z orkiestrą i możliwie długotrwałą, miałem na uwadze Pańską podwójną funkcję — kierownika artystycznego i pierwszego dyrygenta, a to przecież nie identyczne zadania.

— O tym co należy do mnie jako do kierownika artystycznego już się wypowiedziałem: lepsze warunki życia i pracy dla członków zespołu, poprawa stanu kadrowego, właściwa linia repertuarowa, angażowanie odpowiednich artystów i solistów na gościnne występy na naszej estradzie i za to chcę brać na siebie odpowiedzialność. A co do mojej pracy dyrygenckiej z zespołem, to jeśli tamte warunki będą spełnione, a nawet w trakcie ich stopniowej realizacji nie muszę chyba zbyt często stawać za pulpitem. Nie mam żadnych recept na to, jak często ma się udzielać orkiestrze i publiczności szef-dyrygent. Owszem, chciałbym mieć tyle roboczego kontaktu z orkiestrą i chórem, ile będzie mi niezbędne dla dobrego rozeznania się w artystycznych potrzebach, no i dla osobistej satysfakcji, ponieważ jest to naprawdę zespół złożony z muzyków sprawnych i wrażliwych chwytających intencje dyrygenta. Trzeba by tylko jedno przeświadczenie wpoić wszystkim instrumentalistom, że pozycja społeczna muzyka orkiestrowego może być bardzo wysoka, o czym przekonałem się studiując w Anglii. A u nas niekiedy instrumentalista zespołu wstydzi się, że nie jest wirtuozem.

— I teraz dopiero byłaby pora przejść do wywiadu, jaki sobie wyobraziłem. Bo choć było to niezwykle pouczające i interesujące co Pan powiedział o sprawach orkiestry, chciałbym się jednak, podobnie jak i nasi czytelnicy, dowiedzieć też czegoś bliższego o Panu, jako o artyście, poznać Pański pogląd na tę czy inną kwestię związaną ze sztuką muzyczną i specyfiką pracy dyrygenta...

— A jednak na początek trzeba było powiedzieć to właśnie, o czym mówił. Jeśli będzie Pan mimo wszystko obstawał przy tym, że moje zwierzenia artystyczne mogłyby być dla pewnego kręgu czytelników interesujące, nadejdzie być może, czas, kiedy już czegoś tu dokonam, zrealizuję choć część swoich zamierzeń. Bógdyby miało mi się to nie udać, przestałbym widzieć sens całej tej roboty. Może jednak będzie jeszcze pora stosowna do następnej rozmowy. Wtedy się nie uchyle.

— Trzymam Pana za słowo i tym goręcej życzę Panu powodzenia w imieniu, jak sądzę, wszystkich łódzkich melomanów, serdecznie dziękując za obecną wypowiedź.

Rozmawiał:
JERZY KWIECIŃSKI

Filmy jako nie-fabularne rzadko kiedy skupiają na sobie uwagę szerszej publiczności, nieczęsto też zajmują się nimi krytyka. Zasadniczo systematycznie, głęboko refleksyjnie, humanistycznie nad filmowymi gatunkami nie-fabularnymi — tak historycznymi jak teoretycznymi — znajduje się w stadium co najwyżej emerytalnym.

Taki stan rzeczy spowodowany jest w dużej mierze istniejącą sytuacją w zakresie dystrybucji filmu krótkometrażowego. (Używam określenia: „film krótkometrażowy” jako synonimu terminu: „film nie-fabularny”, ponieważ w rzeczywistości dziedzinie tej kilka procent filmów innych niż fabularne to filmy krótkometrażowe). Poza filmami szkolnymi i instruktażowymi, które posiadają swobodę okresionej odbioru, większość filmów krótkometrażowych nie bardzo wiadomo dla kogo jest przeznaczona i kto je w ogóle ogląda.

Kiedyś w kinach wyświetlane obok kroniki przed pełnometrażowym filmem fabularnym krótkometrażowe dodatki, które spełniały często ważną rolę w zakresie masowej edukacji społecznej. Od wielu lat praktyka ta należy już jednak w naszym kraju do przeszłości. Jakże więc dla filmu krótkometrażowego zostają możliwości publicznej prezentacji?

Teoretycznie możliwość taka powinna istnieć, w telewizji. Jednakże z różnych powodów ta potencjalna możliwość wykorzystywana jest w stopniu dość ograniczonym. Wynika to w dużej mierze z faktu, że redaktorzy w TVP wolą (mimo iż nie posiadają kwalifikacji dla robienia filmów) prezentować „filmy” zrealizowane przez siebie samych, niż dzieła małej kinematografii profesjonalnej. Z drugiej strony film krótkometrażowy, nawet gdy jest już wyświetlany w telewizji, zazwyczaj po prostu ginie w świadomości widza, w masywności innych pozycji programów.

Druga zasadnicza możliwość prezentacji filmu krótkometrażowego są różnego rodzaju festiwale i przeglądy, w których nie uczestniczy jednak nigdy zbyt duża liczba widzów.

Mimo to, trudno zanegować rolę imprez tego typu, gdyż są one w praktyce jedyną okazją zobaczenia (chociażby przez wąskie grono ludzi zainteresowanych, po części zaś dość przypadkowych) większego zestawu filmów o krótkim metrażu. Pozwala to na zauważenie istniejących tendencji, kierunków rozwoju filmu krótkometrażowego, ustalenie pewnej hierarchii dzieł i twórców.

Specjalne znaczenie posiadają przeglądy retrospektywne, ponieważ są one jedyną okazją, okazją bezpośredniego skonfrontowania twórców filmów starszych i nowszych.

Największą jednak rolę festiwali i przeglądów filmów krótkometrażowych polega nie tyle na prezentacji filmów publiczności, gdyż ta jest zazwyczaj raczej znikoma, ale na tym, że im-

prezenty to poprawiają samopoczucie twórców, nobilitując ich w ich własnych (przed wszystkim) oczach.

Trzeba bowiem wiedzieć, że mała kinematografia cierpi na kompleksy, w szczególności na kompleks niższości w stosunku do filmu fabularnego, na ogół pełnometrażowego.

W samym zaś krótkim metrażu najbardziej niedocenionymi, niedowartościowanymi, czują się ludzie związani z filmem oświatowym. Nie dość, że istnieją dla większości filmów oświatowych problemy z dotarciem do widza, to w dodatku przekonanie o artystyczności tego rodzaju filmów nie jest do końca ugruntowane, w przeciwieństwie — na przykład — do filmu dokumentalnego, którego przynależność do sfery zjawisk artystycznych od dawna nikt nie podważa.

W filmie Szulkińskiego dostrzeżono przede wszystkim walory naukowe, a w filmie Żukowskiego walory artystyczne. Osobiście widziałbym te walory akurat na odwrót — to znaczy: w filmie Szulkińskiego artystyczne (choć nie tylko), w filmie zaś Żukowskiego głównie (i chyba wyłącznie) naukowe.

Główny już przed kilku laty film Szulkińskiego jest dziełem bardzo oryginalnym. W warstwie dźwiękowej słyszymy stary ludowy pieśń, której tekst pochodzi z XVI wieku. Jest to podobno najstarsza pieśń ludowa po dziś dzień zachowana w żywej jeszcze chłopskiej tradycji. I tyle w tym naukowości.

W warstwie obrazowej natomiast reżyser pokazuje widzowi swą ilustrację treści pieśni. Pieśń opowiada o dziewczynie, która z diabłem zarzęczyła, trójkę dzieci urodziła, dzieci bez-

wierna rekonstrukcja czegoś, co mogło być tworem ludowej wyobraźni w XVI wieku w Polsce, jest raczej wytworem fantazji reżysera, choć tworzy z oryginalnym szesnastowiecznym tekstem całostą nadzwyczaj harmonijną.

Warstwa obrazowa zawiera w sobie również elementy nawiązujące wprost do współczesności. I tak na przykład fiawce zbliżenie diabła z dziewczęciem i jego bezpośrednie konsekwencje przedstawione zostało jako nadmuchiwanie brucha dziewczyny (widzimy wyraźnie jego nadmianie się) przez diabła za pomocą pompki zupełnie współcześnie wyglądającej. Stwarza to efekt niezmiernie komiczny.

Do tego powracające parokrotnie obrazy ludowej kapeli grającej skoczna melodie nadają całosci filmu konsekwentny, żywy rytm.

„Dziwaczny z ciortem” łączy w sobie walory naukowe i artystyczne. Prezentuje (i zachowuje dla potomności) sensy i symbole kultury, a jednocześnie jest filmem, który po prostu z duża przyjemnością się ogląda.

Film „Trombita, róg, gajdy. Jana Kawuloka” jest natomiast prototypowym, skrupulatnym zapisem poszczególnych faz wytwarzania przez ludowego rzemieślnika Jana Kawuloka trzech kolejno instrumentów: trombity, rogu i gajdy. Reżyser z pietizmem ukazuje jak kawał drzewa jest toczony, łoczony, łoczony... strugany, strugany, strugany, itd. itd., na koniec każdej z trzech części filmu słyszymy jak dany instrument brzmi.

Nie neguję etnograficznej, naukowej wartości filmu, który za lat kilkadziesiąt będzie niezastąpionym dokumentem z zakresu historii wytwarzania instrumentów ludowych... ale niestety film podczas oglądania po prostu nudzi.

Dwa filmy wyróżnione Głównymi Nagrodami ilustrują zasadnicze problemy i kryteria oceny filmu etnograficznego (i chyba nie tylko — bo całego filmu oświatowego): kwestie wartości informacyjnej tego, co film niesie oraz kwestie wartości artystycznej filmu jako takiego.

Profesor B. W. Lewicki — nieżyjący już nestor uniwersyteckiej wiedzy o filmie w Polsce — twierdził, że dzieło filmowe może być dziełem sztuki, ale nim być nie musi. I miał rację.

Niemniej jednak synteza wartości poznawczych i estetycznych, choć często niezmiernie trudna, pozostała czymś, co należałoby szczególnie cenić w filmie oświatowym.

Nagrody Specjalne (w postaci ludowych lalek) za całokształt twórczości w dziedzinie filmu etnograficznego przyznano:

— Witoldowi Żukowskiemu, którego laleń siedem filmów prezentowanych było w Przeglądzie — Edwardowi Pałczyńskiemu (3 filmy w Przeglądzie), — Stanisławowi Grabowskiemu (2 filmy w Przeglądzie).

Nagrodę Publiczności otrzymał film „Zanim nadadna liście” w reżyserii W. Ślesickiego z r. 1953 produkcji WFD.

W cieniu wielkiej kinematografii

ADAM BART

Spodziewać się więc należy, że odbywający się w Łodzi w dniach 27-29 października 1982 r. III Przegląd Filmów Etnograficznych „Dorobek i Tradycja” stanowi dla wielu twórców filmu etnograficznego istotne wydarzenie.

W głównej części Przeglądu zaprezentowano 45 filmów 25 reżyserów, z czego 41 dzieł wyprodukowano w Łódzkiej Wytwórni Filmów Oświatowych, 4 zaś w warszawskiej WFD. Najstarszy film pochodził z roku 1947, najnowszy z r. 1981. Na zakończenie Rady Programowa przyznała nagrody.

Było to więc swoiste skrzyżowanie festiwalu i przeglądu retrospektywnego w rzadkiej i ryzykownej formule... ryzykownej ze względu na to, że pokuszono się o wartościujące porównanie filmów powstałych na przestrzeni kilkunastu lat, niejednokrotnie autorstwa twórców od lat już nieżyjących.

Nagrodę Główną „za walory naukowe” (cytuje za protokołem z posiedzenia Rady Programowej Przeglądu) otrzymał film „Dziwaczny z ciortem” w reżyserii Piotra Szulkińskiego z r. 1975, produkcji WFO. Nagrodę Główną „za walory artystyczne” otrzymał film „Trombita, róg, gajdy. Jana Kawuloka” w reżyserii Witolda Żukowskiego, również z r. 1975 i produkcji WFO.

Ciekawe zresztą, dlaczego w fi-

lmszu pomordowała, na co sprawił... wiedeńskie przez czarta do piekła porwana została. Pieśń dla współczesnego odbiorcy — rzecz zastanawiająca — pozostaje nie tylko muzealnym, etnograficznym eksponatem, choć nagranie wykorzystane w filmie i taka rolę spełniać może, ale jest czynny żywioł, czego cieknie się słucha. Jednocześnie — i tu tkwi największa zasługa artystyczna reżysera — obrazowa ilustracja fabuły tekstu pieśni została dokonana w sposób stylizowany z tekstem tym korespondujący i dowcipny sarażem.

Owa obrazowa ilustracja jest eleganiem starannie zainscenizowanych i opracowanych pod względem scenograficznym (autorem scenografii jest sam reżyser) ruchomych obrazów. Zastosowana w filmie zasada symultanicznego w-kazywania następujących po sobie zdarzeń nawiązuje do malarstwa średniowiecznego. Kilkakrotnie gromadzenie w kadrze wielu postaci wykonujących różne czynności z zakresu gospodarstwa wiejskiego jest wyraźnie inspirowane twórczością Pietera Bruegla, też zresztą wyrażającą się średniowiecznej tradycji. Wystylizowany, spowolniony, hieratyczny ruch postaci przyczynia się również do stworzenia szczególnego efektu ożywionego malarstwa.

Trudno powiedzieć, aby warstwa obrazowa filmu była naukowo

Stowarzyszenie „PAX” przyznało już po raz 35 swe tradycyjne nagrody im. Włodzimierza Pietrzaka. W bieżącym roku nagrody te otrzymał m. in.:

- naukową — prof. dr. Stefania Skwarczyńska za okazję 80-lecia urodzin jako wyraz uznania Jej zasług w dziedzinie teorii i historii literatury oraz pracy pedagogicznej
- literacką — Jan Koprowski za całokształt twórczości
- specjalną — Jerzy Dunin-Borkowski za twórczą i ofiarną pasję kolekcjonerską, ocalającą dobra kultury narodowej.

Uroczyste wręczenie nagród odbędzie się w Warszawie w końcu miesiąca.

Po przerwie spowodowanej remontem, wznowia działalność Scena dla Dorosłych Państwowego Teatru Lalek „Pinokio” w Łodzi, ul. Zamenhofa 21. Już w sobotę 20.XI.1982 r. o godz. 20.00 scena ta przedstawi nową premierę. Bedzie to „Panna Tutli Putli” S. I. Witkiewicza, w reżyserii Wojciecha Kozłowskiego, scenografii Tadeusza Holówki i z muzyką Marka Jaszczaaka. Widowisko to, zrealizowane w stylistyce kabaretowo-operetkowej, pełne humoru i pikanterii, zawierające bardzo współczesne treści i aktualne problemy, prezentowane będzie w każdą sobotę i niedzielę.

14 listopada, w niedzielę, na Dużej Scenie Teatru im. Stefana Jaracza odbyła się premiera sztuki Zygmunta Nowakowskiego „GAŁAZKA ROZMARYNI”. Dramat ten okazał się szlagierem ostatnich dwóch lat przed wojną (prapremiera odbyła się 9 listopada 1937 roku w Teatrze Polskim w Warszawie). Szlagierowość swą zawdzięczał chyba charakterowi sztuki tzw. „łobchodowej” — tak pisał Boy, znakomite na rocznice i akademie, apelujące do sentymentów historycznych i do żywych jeszcze wspomnień części widowni. My cenimy ją bardziej głównie dlatego, że jest swego rodzaju arcydziełem dramatycznym i wzorem widowiska popularnego. Reżyserem przedstawienia jest Jerzy Hutek, scenografia — Grzegorz Malecki, muzyka — Piotr Hertel.

Sztuka w plenerze



Forma przestrzenna zrealizowana przez Henryka Staszewskiego w pobliżu Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi jest jednym z wielu przykładów twórczych poszukiwań tego wybitnego artysty. Przed laty, związany z Łodzią poprzez osobę Władysława Strzemińskiego i Katarzynę Kobro powrócił do niej poprzez swoje kontrowersyjne dzieła. Nie jest ona właściwie rzeźbą, czy formą przestrzenną, jest manifestacją postawy artysty, postawą konsekwentnie związanej z nurtem konstruktivistycznym, któremu pozostał wierny do dziś.

Foto: M. Zajdel

Konkurs literacki

Urząd Wojewódzki — Wydział Kultury i Sztuki, Urząd Miejski — Wydział Kultury i Sztuki, Ośrodek Kultury Literackiej w Kielcach oraz Wydawnictwo Łódzkie w Łodzi, w związku z 40 rocznicą Polskiej Ludowej, ogłaszają ogólnopolski konkurs na powieść, zbiór opowiadań, utwór sceniczny i tom wierszy. Celem konkursu jest powstanie utworów literackich przedstawiających problemy współczesnego życia polskiego, ze szczególnym uwzględnieniem regionu świętokrzyskiego.

Organizatorzy zapewniają następujące nagrody: za powieść (minimum 150 str. maszynopisu) i nagroda — 50 tys. zł. II — 40 tys. zł. III — 30 tys. zł. dwa wyróżnienia po 20 tys. zł. każde, za zbiór opowiadań (minimum 150 str. maszynopisu) i nagroda — 50 tys. zł. II — 40 tys. zł. III — 30 tys. zł. dwa wyróżnienia po 20 tys. zł. każde, za utwór sceniczny (pełno- i dwupiętnastkowy) i nagroda — 40 tys. zł. II — 30 tys. zł. III — 20 tys. zł. dwa wyróżnienia po 10 tys. zł. każde, za tom wierszy (minimum 1,5 ar. aut.) i nagroda — 40 tys. zł. II — 30 tys. zł. III — 20 tys. zł. dwa wyróżnienia po 10 tys. zł. każde.

Prace dotychczas nie publikowane w druku zwanym i nie inscenizowane, w trzech egzemplarzach maszynopisu, opatrzone godłem, z załączonymi w zaopatrzone również godłem koperty: imieniem, nazwiskiem i dokładnym adresem, należy nadsyłać na adres: Ośrodek Kultury Literackiej 25-003, Kielce, ul. Wspólna 8a, do dnia 30 IX.1983 r.

Organizatorzy podejmą starania o wydrukowanie nagrodzonych prac nakładem Wydawnictwa Łódzkiego, natomiast nagrodzone utwory sceniczne będą proponowane Teatrowi im. Stefana Żeromskiego w Kielcach do wystawienia. Konkurs zostanie rozstrzygnięty w styczniu 1984 r., a jego wyniki będą podane do wiadomości publicznej. Skład jury zostanie ustalony w terminie późniejszym. Organizatorzy zastrzegają sobie prawo do innego podziału nagród oraz pierwszeństwa druku lub wykorzystanie w inny sposób wszystkich nadesłanych prac.

Jeszcze o „Hendryku”

W numerze 30 (1263) „Odgłosów” ukazała się notatka Ryszarda Poradowskiego, w której autor prostuje niektóre nieprawdziwe informacje dotyczące ludzi i spraw, zawarte w fragmentach utworu Adama Ochockiego (trudno z merytorycznych względów nazwać to wspomnieniami) publikowanych wcześniej na łamach „Odgłosów”.

W papierach po Henryku Rudnickim — o którego m.in. wspomina się p. Poradowski — znajdują się dokumenty, dotyczące życia Zmarłego od urodzenia po śmierć. Z łatwością można w polemice prasowej jak i w sądzie udowodnić dokumentem nieprawdę zarówno w tym, co dotyczy H.R., jak i innych ludzi oraz faktów. Nie sądzę, aby w chwili obecnej istniała taka konieczność. Czy pan Ochocki tego chce czy nie chce Henryk Rudnicki był — jak to trafnie powiedział red. Mojkowski gratulując H. R. Orderu „Sztandaru Pracy” — „żywa historią prasy łódzkiej” i choćby dlatego jego całowyciowy dorobek dziennikarski jest przedmiotem zainteresowania ludzi kompetentnych i poważnych. A o zwykłą uczciwość i rzetelność w tym co się wykonuje — czy będzie to para butów czy artykuł do gazety — jest, mniemam, w środowisku ludzi pióra nie trudniej niż w każdym innym. Sprawa dobrych obyczajów i etyki dziennikarskiej to też nie bagatela.

Swoją drogą tzw. chućpa ma to do siebie, że obezwładnia ludzi prawych i skromnych. To smutne.

Z poważaniem
DANUTA RUDNICKA
Łódź, 29 października 1982 r.



Liczą się nie tylko fakty

(W odpowiedzi Ryszardowi Poradowskiemu, dziennikarzowi „Głosu Robotniczego”, na jego uwagi zawarte w publikacji pt. „Nie ma cudów, liczą się fakty” — nr 30 „Odgłosów”, z 29 października br.)

Początkowo nie miałem zamiaru odpowiadać na skierowane pod moim adresem zarzuty (powody ponizej), zmieniłem jednak zamiar, obawiając się, żeby autor, broń Boże, nie skojarzył sobie mojego milczenia z fraszka Tuwima „Próżno repliki się spodziewa”.

Otóż z ręką na sercu stwierdzam: nie jestem historiozofem ani historiofrafem. Nie piszę rozprawy naukowej o powojennej prasie łódzkiej, a zatem trudno traktować „Reportera przed konfesionalem” jako biografię, a co dopiero monografię poszczególnych dziennikarzy. Mój pamiętnik, jak inne tego gatunku publikacje, rzadzi się

niebymi prawami. Opisując dawne dzieje opieram się na swojej pamięci i subiektywnie, w felietonowej formie, staram się wiernie przekazać swoje przeżycia na tle minionych wydarzeń. Oczywiście fakty się liczą i w miarę możliwości je uwzględniam. Ale w pamiętniku nie mniejszą rolę odgrywają inne czynniki. Jak np. anegdoty, krótkie, zabawne historyjki, charakteryzujące osoby, o których się wspomina. One bowiem, często lepiej od najeśszych wywodów i wylczeń, nadają koloru wspomnieniom, odtwarzają specyficzną atmosferę i dzięki temu przybliżają czytelnikowi opisywane dzieje i postacie.

Nie piszę o wszystkich i wszystkich. W albumie wspomnień z pięknymi fotografiami kolegów znalazłby się również negatywy, czego starałem się unikać, zwłaszcza w odniesieniu do zmarłych. Nie dlatego, ażebym uznawał słuszną zasadę „De mortuis aut bene aut nihil”, ale dlatego, że umarli nie mogą się bronić. Wiadomo jednak — każdy z nas ma jakieś wady, i ja nie jestem od nich wolny, nie widzę zatem sensu pisanie o każdym w samych superlatywach. Nie powiększajmy zbyt pochopnie panteonu świętych.

Jako autor pamiętnika mogę popełnić pomyłki. I z góry zapewniam, że na pewno ich nie uniknę. Większym i sławniejszym też się to nie udało. A wnioski do jakich dochodzę są moimi własnymi, z którymi można się zgodzić lub nie.

I tutaj mógłbym właściwie postawić kropkę, ale skoro już jestem przy głosie...

Dziękuję R. Poradowskiemu za garść nowych szczegółów o przedwojennej działalności pisańskiej mego przyjaciela, znakomitego dziennikarza, Henryka Rudnickiego. Nie znalazłem go osobiście przed wojną. Nie spotykałem go na żadnej konferencji prasowej ani wyprawie reporterskiej. Niemniej w ostatecznej redakcji drugiego tomu „Reportera” chętnie uzupełniłem (bo to ciekawe szczegóły), że Henryk Rudnicki poza korektą w „Kurierze Łódzkim” tłumaczeniami i oryginalnymi tekstami (o czym wspominał w rozdziale „Cud w partyjnym „Głosie”) robił jeszcze depesze z naskłonu radiowego i pisał wiersze do „Małego Kùriera”.

Wspominałem o Henryku, iż po wyzwoleniu przez jakiś czas był jednocześnie sekretarzem redakcji, depeszcownikiem, kierownikiem działu miejskiego oraz kilku wydań mutacyjnych „Głosu” wypełniając obowiązki czterech pracowników za jedną pensję. Na to R. Poradowski r. postępuje: „...w grudniu 1948 r. H. Rudnicki zarobił prawie dwukrotnie więcej niż sam redaktor naczelny i kilka razy więcej od innych redakcyjnych kolegów”. Najwyklesze pomieszenie pojęć! Co ma piernek do wiatraków, a zarobki do pensji? Wysokie dochody osiągnął Henryk wierszówką! Do dziś kasa RSW wypłaca ja dziennikarzom każdego piątego i dwudziestego dnia miesiąca, niezależnie od pensji. A pensję — powtarzam — Henryk pracując za czterech, co tylko dobra o nim świadczy, jako natrójce swej gazety, pobierał jedna. Nie zdarzyło się, żeby ten sam pracownik w jednym i tym samym przedsiębiorstwie miał dwie czy więcej pensji.

Wrecz rozbrajać brzmią wywody R. Poradowskiego: „Dziwi się należy autorowi wspomnień, że zapomniał o utworach H. Rudnickiego drukowanych np. w wydawnictwie „Co Tydzień Powieść” W listopadzie 1934 r. H. Rudnicki podpisywał się wówczas „H. Jastrzebiec” opublikował w tymże wydawnictwie powieść pt. „Czerwony Cadillac”. Jak już wspominałem wyżej, nie znalazłem przed wojną Henryka Rudnickiego. Tym bardziej nie mogłem znać tego pseudonimu. Tutaj mała ciekawostka: Dwa lata temu zgłosił się do mnie p. Zdzisław Knorowski z Pabianic, pracownik naukowy Biblioteki Uniwersyteckiej w Łodzi, niestrudzony badacz prasy przedwojennej, z prośbą o autograf do pierwszego tomu „Reportera”. W trakcie rozmowy bąknąłem nieśmiało, że zdarzyło mi się przed pół wiekiem popełnić razem z Ed-

mundem Bartoszkim roman-sido do CTP pt. „Miłość kwitnie w maju”. Dwa tygodnie temu p. Knorowski ponownie mnie odwiedził i z triumfem okazał ów numer „Co Tydzień Powieść” prosząc o dedykację. Wzruszony przerzuciłem po-zółkie kartki i stwierdziłem, że tę powieść napisaliśmy pod pseudonimem... jakim? Pokro-jcie mnie na kawałki, ale już po kilkunastu dniach pseudo-nim ów wywierał mi z głó-wy.

Jak to właściwie jest z tą ilością napisanych przez „Hendryka” cotygodniowych felietonów po wojnie? W jedno-brzmiającym wspomnieniu pó-miernym o Henryku Rudnickim w nr 7 „Prasy Polskiej” z lipca 1980 r. oraz w nr 84 „Głosu Robotniczego” z 14 kwietnia 1980 r. czytamy: „Cykl cotygodniowych felietonów, który liczył już prawie dwa tysiące pozycji, jest naj-dłuższym tego rodzaju cyklem w historii powojennej (podkr. moje A. O.) prasy polskiej”. Zgodziłem się sam napisać w „Odgłosach” kwestionując tyl-ko ilość jako grubo przesadzo-ną, a R. Poradowski dodaje figlarnie: „W swoich wylcze-niach (A. Ochocki, przyp. mój) pomija jednak felietony dru-kowane w okresie przedwojen-ny”. I znowu brak logiki. Bo przecież i ja, i ci co napisali wspomnienie o Henryku Rud-nickim wyraźnie mówimy o fe-lietonach napisanych po woj-nie.

Dziwi mnie, że R. Poradow-ski z dnia na dzień zmienił zdanie o mnie. Chyba tydzień przed wydrukowaniem czterna-stego z kolei fragmentu mych wspomnień o „Głosie Robotni-czym” spotkał mnie on na schodach budynku RSW. „Pa-nie redaktorze, kiedy wrzescie ukaże się pańska książka? Nie mogę się jej doczekać” — i tak się zachowywał tym co napisa-łem w 13 odcinkach, że stapa-jąc po schodach trzymałem się poręczy, żeby się nie pośliznąć.

Rozdział o „Głosie” skróci-łem licząc się z brakiem miej-sca w tygodniku. Na pominiętych przeze mnie stronicach wspominał o i innych zasłu-żonych dziennikarzach „Gło-su” — o Henryku Sroczyńskim, Piotrze Goszczyńskim. Fragmenty o Adamie Biełkow-skim, najstarszym obecnie b. pracowniku „Głosu”, i o in-nych — redakcja „Odgłosów” sama wykropkowała z wyżej wspomnianych względów. W książce, jeśli do ukończenia jej nie zakręca mnie rozmaici „prostowacze”, na pewno bę-dzie o nich mowa.

I wrzescie — był cud, czy go nie było? R. Poradowski pisze, że cudów nie ma, ja, jako fe-lietonista i satyryk, nadal twierdząc z przymrużeniem oka, że cuda, przynajmniej te w cu-dzysłowie, zdarzają się. Bo jak to się stało, proszę mi wytłu-maczyć, że sześciu kolejnym redaktorom naczelnym nie udało się uatrakcyjnić „Głosu” i podnieść jego nakładu, a do-końca tego dopiero siódmy z kolei, niezapomniany Stanisław Mojkowski, za szefostwa któ-rego nakład gazety z 20 tysie-cy skończył do pół miliona? Oczywiście atmosfera w kraju po sztywnym kursie zmieniła się, redaktorowi dzielnie sekundowali koledzy, ale to Sta-sio tchnął w nich nowego du-cha, rozbudził ambicje i zapal, a pracował przecież z tymi sa-mymi dziennikarzami co jego poprzednicy.

Na zakończenie dwa moje pobożne życzenia: oby naj-więcej takich jakościowych i ilo-sciowych „cudów” w naszej socjalistycznej gospodarce — i oby o mnie, gdy opuszcze ten piękny świat, ktoś napisał choćby w niktym procencie tak entuzjastycznie jak ja w mych wspomnieniach o Henryku Ru-dnickim.

ADAM OCHOCKI

P.S. List p. Danuty Rudnic-kiej do „Odgłosów” przeczyta-łem L. dalibóg, nie z niego nie rozumiem. Z wyjątkiem słowa „chućpa”. Ponieważ nie ma go w żadnym słowniku polskim, niewtajemniczonym wyjaśniam, że słowo to żywem zostało a-czerpnięte z żargonu żydow-skiego i oznacza: beczelność. Ano cóż, można i tak...

A.O.

O cudach i poetyce wspomnień

Przygotowując do druku w „Odgłosach” fragmenty dziennikarskich wspomnień Adama Ochockiego i pracowicie zaznaczając wielokropkami skreślone ustępy (co — wyjaśniam raz jeszcze — powodo-wane było przede wszystkim ograniczoną objętością na-szego pisma) spodziewałem się, szczerze mówiąc, że to i owo wywoła ripostę, może nawet szerszą polemikę. Zdziwiło mnie jedynie, że polemika ta wybuchła właśnie wokół osoby niezapomnianego „Hendryka”, Henryka Rudnickiego, Stanisła-wa Mojkowskiego, oraz czegoś, co Ochocki nazwał pół żartem „cudem w partyjnym „Głosie”.

Pamięć ludzka jest zawadna, co ważniejsze zaś nasze spoj-rzenie na wydarzenia czasu przeszłego zawsze zabarwione są subiektywizmem, wynika-jącym chociażby z odmiennej perspektywy, odmiennego usytuowania samego obserwatora. Ja na przykład zacząłem pracę w „Głosie Robotniczym” w ro-ku 1955, gdy nakład istotnie był mizerny, choć już wkrótce — wynikało to ze zmieniającej się sytuacji politycznej — wie-le zaczęło zmieniać się na le-psze. Gnany młodzieńcza nie-cierpliwością jesienią 1956 ro-ku przeniosłem się wszelako do reaktywowanego właśnie „Expressu”, za konkurenta zaś — między gazetami, to chyba dobrze, zawsze istnieje jakaś konkurencja, choćby przyja-cielska — uważaliśmy podów-czas jedynie „Dziennik”. Po-tem jednak w „Głosie” istotnie pojawił się Stanisław Mojko-wski, gazeta zaczęła obrastać nowymi inicjatywami, rubry-kami i pomysłami, aż stała się tym, czym jest dzisiaj — łó-dzkim gigantem prasowym. Oczywiście nie była to zasługa jednego człowieka, a całego kolektywu, jednak „Moj” właśnie dał pierwszy, potężny impuls, był dla „Głosu” tym, kim De-jmek dla Teatru Nowego.

Z „Mojem” nie pracowałem nigdy, z Henrykiem Rudnickim — zaledwie rok z okładem, nie licząc lat ostatnich, gdy jako sekretarz odpowiedzialny re-dakcji „GR” z nie ukrywaniem sentymentem drukowałem fe-lietony przebywającego już na emeryturze mego dawnego mistrza. Mistrza w rozumieniu podwójnym, „Hendryk” nie ty-lko bowiem znakomicie opano-wał dziennikarskie rzemiosło, ale z zadziwiającą zaobłąd-zią starał się przekazać swoją wie-dzę młodemu narybkiowi, do którego podówczas sam się zaliczałem. Był wymagający, niekiedy brutalny, umiał — przepraszam za słowo — opie-przyć, ale przede wszystkim umiał nauczyć.

Każdy z nas chodził do szkoły i wie, że ze starych bełfrów wspomina się najcie-pliej nie tych, którzy trójkę da-wali „na piękne oczy”, lecz su-rowych, wymagających, potra-fiających wycisnąć z człowieka siódme poty. I właśnie na po-dobnej zasadzie o Henryku Ru-dnickim umiem myśleć jedynie dobrze, choć dalibóg pojęcia nie mam, ile felietonów w ży-ciu napisał i kiedy w dzienni-karstwie zaczął pracować.

Jeżeli powstanie monogra-ficzne opracowanie powojen-nych dzieł prasy łódzkiej (a myślę, że byłoby to rzecz ze wszelkim potrzebą i po-uczającą) wszelkie przyczynki, zwłaszcza pióra dziennikarzy dalej sięgających pamięcią, okazałyby się z pewnością ogro-mnie przydatne, zwłaszcza że z dokumentacją różnorakiego typu jest — jak słyszę — nie naj-lепiej. Chętnie bedziemy publi-kować podobne teksty, nawet w ocenach i sądach kontrower-syjne, błagam jednak: nie strzelajmy przy okazji do pia-nisty, który spróbował jedynie odegrać rolę bardzo osobistych wspomnień.

JERZY PANASEWICZ



Przez tylek do serca

W bardzo słusznej, skąd-inąd arcyślusnej polemice ko-mentatora „Głosu Robotnicze-go”, z wtorku 9 bm. pt. „Ufo-lodzy”, potępiającej podbetchy-wanie polskich uczniów przez „Głos Ameryki” do tworzenia „uczniowskiego frontu odmo-wy” autor komentarza naszym zdaniem za daleko się jednak zapędził. Reagując — ze zroz-u-miałym oburzeniem na suges-tię monarchijskiej rozgłośni, by dzieci „pytały o szczegóły bab-cie i dziadków” (jak mianowi-cie robić ową antypaństwową konspirację) autor komentarza przywołuje jako przykład właściwego postępowania wła-snego dziadka, który, jak pisze autor: „dałby mi odpowiedź jedną: perswadowałby mi pa-s-em, że Polskę trzeba kochać, a nie walczyć z nią”.

Nie sądzimy, żeby była to najwłaściwsza metoda wpaja-nia młodemu pokoleniu (nawet otumanionemu) miłości ojczy-zny, opowiadamy się bowiem za metodami wychowania od-wołującymi się raczej do gło-wy niż do... Patriotyzm w ten sposób wymuszany, jeśli nawet owocnie, niewielkie miałby szanse stać się patriotyzmem światłym, na którym najbar-dziej nam powinno zależeć.

Pochopność argumentacji wy-paczyć może najlepsze intencje.

(Jk)

A jednak...

Ostatnimi czasy organizuje się sporo wszelakich kursów szkolących w bardzo różnych specjalnościach. Począwszy od tych, których głównym celem jest li tylko podnoszenie kwa-lifikacji zawodowych (jak np. obróbki skrawaniem, hydrau-lik, spawalnictwo, mechanik czy tak modnej ostatnio — informatyki), a skończywszy na kursach, które ukończyć można we własnym zakresie, a które pozwalają na wyko-nywanie pewnych czynności (np. bukieciarstwo, gospodar-stwo domowe, krój i szycie oraz kursy pisania na maszy-nie i stenografii). Celem tych „zabiegów” jest (czy raczej powinno być) umożliwienie statystycznemu Polakowi — bez względu na wiek — zdo-bycia określonych umiejęt-ności, bardziej lub mniej niezbędnych w pracy zawodo-wej, czy choćby w życiu pry-watnym. Ale czy w każdym przypadku jest to cel rzeczy-wisty?

Zapewne marzeniem każde-go uczestnika jakiegokolwiek kursu jest pozyskanie możli-wie wysokiego poziomu zdo-bywania umiejętności. Ale czy poziom osiąganych wyników leży tylko w gestii zaintereso-wanego? Czy osiągnięcie wyniki w szkole, zawodowej — mam na myśli przedmioty prak-tyczne — mają swoje źródło tylko w bardziej lub mniej odpowiednim stosunku ucznia do przedmiotu?

Bardzo częstym zjawiskiem (choć są i chlubne wyjątki) jest brak dbałości ze strony organizatorów o odpowiedni poziom użyteczności urządzeń, maszyn, czy też o zapewnienie odpowiednich ilości tych urzą-dzeń (niegdys zetknąłem się z kursem kroju i szycia, który

miał dwa podstawowe manka-menty: niezbyt, zorientowaną w swych kompetencjach i programie kursu panią in-struktor oraz nader skromną ilość maszyn do szycia — dwie na ponad 20 uczestników). Grzechem głównym jest prze-starzałość tychże maszyn i urządzeń oraz związana z po-wyższym duża częstotliwość awarii, co skutecznie obniża poziom kwalifikacji zdobywa-nych przez kursantów. By uniknąć zarzutu gołosłowności przedstawię problem jednego z kursów.

Byłam uczestniczką kursu pisania na maszynie, zorgani-zowanego przez Stowarzysze-nie Stenografów i Maszynis-tów w Polsce, Oddział w Ło-dzi. Co więcej, ukończyłam go (nawet pomyślnie!), ale z co-ko-lwiek mieszanymi uczucia-mi.

Zapisując się na wspomnia-ny kurs miałam nadzieję i ambicję zdobycia biegłości w pisaniu na maszynie i w mia-rę sprawnej jej obsługi, ale nie w... usuwaniu nierzadko skomplikowanych uszkodzeń. Po niedługim czasie odniosłam jednak wrażenie, że głównym celem organizatorów było sprawdzenie naszych umiejęt-ności w dziedzinie naprawy maszyn. Ale wtedy, po otrzy-maniu weryfikacji upoważnia-jącej mnie do wykonywania zawodu maszynistki, winnam otrzymać również tytuł „dy-plomowanego konserwatora”.

Lokal łódzkiego Oddziału Stowarzyszenia mieścił w sobie trzy hale maszyn; „park ma-szynowy” jest zróżnicowany, i bardzo dobrze, gdyż miałam możliwość poznania wielu ty-pów maszyn, ale, niestety, co trzecia maszyna jest niesprawa-na. Podstawowe usterek to: złamane bądź rozregulowane klawisze, niesprawne swaki marginesu, nieczynne klawisze cofające, czy też zupełna igno-rancja tabulatorów, niezbed-nych do wykonywania tabelek (na ocenę reszta!) oraz wie-le pomniejszych (a także do-kuczliwych) usterek natury technicznej.

Tak więc czuję się upoważ-niona do zadania następują-cych pytań:

— czy doprawdy opłata za kurs w kwocie 2.100 zł (od września br. już 2.500) zobo-wiżuje organizatorów tylko do zapewnienia miejsca na kursie i możliwości słuchania „przesympatycznej” pani in-struktora?

— czy nie należałoby także oczekiwać zapewnienia od-powiedniej wydolności eksploata-cyjnej wszystkich (np. po-wiedzmy 90 proc.) maszyn?

— czy przy tak szerokiej rzeszy uczestników kursów maszynopisania (czy innych) nie należałoby pomyśleć o stałym etacie dla konserwato-ra, który byłby w stanie od-ręki usuwać wszelkie usterek?

— co zrobić w sytuacji, gdy liczba osób, które stawily się na egzamin końcowy przewyż-sza liczbę sprawnych maszyn?

— jak ocenia się pracę egzaminacyjną kursantki, któ-ra siadając — z braku innej możliwości — przy zepsutej maszynie skazana jest na zni-weczenie całego trzymiesięcz-nego (czy w innych przypad-kach półrocznego) trudu?

Pytania te traktuję jako prowokację do odpowiedzi lu-dzi odpowiedzialnych za ten stan rzeczy.

Wiele niepokoju budzą we mnie niedopracowane — moim skromnym zdaniem — pod-ręczniki mające służyć nam pomocą, a zawierające bardzo nieciekawe teksty, montonne ćwiczenia i zdjęcia — nieste-ty w przeważającej części nie-czytelne.

To jest jedna strona zagad-nienia. Druga? Z własnego doświadczenia wiem, że nawet pisząc na nie całkiem sprawną maszynę i zdając sobie sprawę z ilości popełnionych błędów, można egzamin zali-czyć na... bardzo dobry! Jed-nakże (baczac — mimo wszy-stko — na powyższe utyskiwa-nia), szczerze polecam tę for-mę szkolenia. Robię to z całą odpowiedzialnością, gdyż mimo wielu niedociągnięć organiza-cyjnych i niedopatrzeń, przy dużej dozie hartu ducha i od-porności psychicznej można się naprawdę wiele nauczyć, zdobyć kwalifikacje, które by-ły, są i długo jeszcze będą wysoko cenione.

MIROSLAWA BARTOSIK



Głos z sali

Fakt pojawienia się na rynku pierwszego w historii PRL czasopisma w całości (niemal) poświęconego fantastyce uznaliśmy za tak znaczący, że postanowiliśmy poświęcić całą niemal kolumnę na ocenę inauguracyjnego numeru. Już na samym wstępie pragniemy się zastrzec, że robimy to nie z pozycji fachowców (jedy-nym zawodowym krytykiem w naszym gronie jest Stefan Otceń), lecz po prostu miłośników fantastyki. Stąd propozycja, aby traktować nasze wypowiedzi jako „głos z sali”.

Pismo ma objętość 64 stron formatu A-4, z czego na fantastykę poświęcono czterdzieści. Reszta to wywiady, recenzje, tzw. ciekawostki, te zresztą, naszym zdaniem, zupełnie niepo-trzebne. Argumentację redaktora naczelnego za „wstępniaka”:

„(...) Nie może przecież zabraknąć nauki do towarzyszenia fantastyce. Ma ona przedstawiać i tłumaczyć te zjawiska, o których fantastyka interesująca piszą, a które są nieodłącznym składnikiem materiałów twórczych, akcji i kon-frontacji w utworach fantastyczno-nauko-wych. (...)” uważamy za wstrząsająco naiwną. Podejście takie dobre było przed pół wiekiem. Przy okazji, cieszy nas bardzo poznanie twarzy naczelnego.

Zaczniemy jednak od początku, czyli od okładki. Uwidoczniona tam przedstawicielka pici pięknej nie wywołuje u nas skojarzeń z fanta-tyką: zaczerpnęto ją z ywcom z nieznanego w Polsce „heroic fantasy”. Wygląda na to, że pod koniec pracy rysownikowi zabrakło cierpliwo-ści, i niektóre partie rysunku są wyraźnie nie-dopracowane.

Nie wiemy też, dlaczego redakcja zmusza nas do dewastowania świeżo nabytego numeru. Czy nie lepiej byłoby okładki do drukowanych w środku powieści umieścić osobno, w postaci na przykład rozkładówki? Sam sposób umieszcze-nia powieści wewnątrz numeru też zakrawa na kpinę czytelnika (po ich wyjęciu dwie strony wypadają). Można było bez najmniejszych problemów rozłożyć je tak, by amputacja była bezbolesna. Czyżby podobnym praktyka-mi chciała redakcja zmusić nas do kupowania dwóch egzemplarzy czasopisma? Może istotnie jest to skuteczny sposób podniesienia sprzedaży, ale chyba niezbyt fair.

Leżmy dalej. Dział „Nauka i SF”, artykuł „Fikcja prawie naukowa” jest pisany z punktu widzenia fachowca, owszem, ale fachowca od nauki, a nie od literatury. Dziwi nas, dlaczego pan Dworak uważa „naukowść” utworu SF za jeden z podstawowych mierników jego wartoś-ci. Z faktu, że Fijałkowski trzyma się ściśle danych naukowych nie wynika jeszcze, że jest lepszy od Brądbury’ego.

Wywiad z Asimowem. Bardzo dobrze, że zo-stał zamieszczony, wolelibyśmy jednak, by do-tyczył fantastyki, a nie perspektyw współczes-nej nauki. Na plus zaliczymy redakcji opubli-kowanie fragmentu sławnej na zachodzie książ-ki Douglasa R. Hofstadtera. Szkoda tylko, że wybrano fragment nie mówiący właściwie nic o jej treści.

Rozpoczęto druk redagowanego przez Andrze-ja Niewiadowskiego „Słownika polskich auto-rów SF”. Co doktor Niewiadowski rozumie pod hasłem Science Fiction? Przecież obaj zapre-zentowani autorzy nie mieli z SF praktycznie nic wspólnego. Umieścić by ich należało na pograniczu Fantasty i Fantastyki Grozy. Prezen-towane notki mają niestety charakter szkolnej wyliczanki, chociaż autor zastrzegł się we wstępie, że prezentuje pisarzy nieznanym współczesnemu czytelnikowi. Gorąco prosimy pana Niewiadowskiego, aby w najbliższym nu-merze raczył napisać jak szeroko zamierza traktować problem zarówno w aspekcie czaso-wym, jak i tematycznym. Wnosząc z łącznej objętości utworów fantastycznych napisanych przez S. Balińskiego wzmawiam, że dr Nie-wiadowski zamierza przedstawić w słowniku wszystkich tych, którzy choćby otarli się o fantastykę.

Na kolejnych stronach ten sam pan Niewia-dowski publikuje dwie recenzje z powieści,

które jeszcze się nie ukazały (i nie wiadomo, co gorsza, kiedy się ukaza). I bardzo to ze stro-ny autora sprytnie — dzięki temu nikt nie mo-że z nim polemizować. Dlatego też opinie na temat wymienionych recenzji odkładamy do momentu ukazania się książek.

W dziale krytyki zamieszczono też artykuł znakomitego austriackiego badacza literatury Franza Rottensteina popularyzujący twórczość znanego skądinąd Stanisława Lema (zapomina-jąc jednak o podaniu daty powstania artykułu). Zdania na temat celowości jego publikacji w „Fantastyce” są wśród nas podzielone.

Komentowanie najnowszych „ciekawostek” sprzed co najmniej pięciu lat uważamy za nie-celowe.

Sensacją numeru jest tak zwana redakcyjna „lista bestsellerów”. Ciekawi nas, czy zespół redakcyjny „Fantastyki” na pewno wie, co kryje się pod anglosaskim terminem „best-seller”? Dziwi nas też bestseller, który jeszcze nie pojawił się na półkach księgarskich. Ponie-waż mamy poważne wątpliwości co do obiek-tywizmu zespołu oceniającego, poczynając od nowego roku otwieramy własną listę, opartą o notowania comiesięcznej giełdy klubu SFAN.

Co do wywiadu z red. Troszczyńską „Mie-ziego początki” pragniemy napomknąć, że IW „Nasza Księgarnia” nawiązał współpracę nie z „Warszawskim Klubem Miłośników Fantastyki” (bo takowy nigdy nie istniał), ale ze SFAN CLUBEM.

Zamyka numer prawdziwe *curiosum* w postaci „komiksu”. Trudno dziwić się autorowi, że nie podpisał się pod swoim „dziełem” imieniem i nazwiskiem. Ma się czego wstydzić. Wiemy kto to, ale nie powiemy, aż tak okrutnie nie jeste-smy.

Natomiast przyznać musimy, że prezentowa-na w numerze fantastyka zagraniczna jest na-prawdę wysokiej klasy, a nazwiska autorów — znakomite. Recenzje i komentarze dotyczące opowiadań prezentujemy obok, natomiast w sprawie utworów w odcinkach wypowiemy się po zakończeniu ich druku.

Zespół oceniający:

DAREK MILERSKI
MAREK S. NOWOWIEJSKI
STEFAN OTCEŃ
RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

A propos „Wieczornej modlitwy”

Lester del Rey to klasyk, ale oceniać jego utwór jest trochę nieuczciwie, gdyż zaprezen-towany po polsku po wielu latach od momentu powstania, w przekładzie zaledwie poprawnym, jawi się nam niczym sprawne opowiadanie na-pisane przez amatora.

Polscy fani są w ogóle w złej sytuacji, gdyż nie rośli i nie dojrzewali wraz z rozwo-jem literatury Science Fiction. Prawie cały tak zwany „Złoty Wiek” (najczęściej przyjmuje się za takowy lata 1939—1949) jest nam nie znany (wyjąwszy część opowiadań z „Rakietowych szla-ków” — wyd. 1958 i „Kryształowego sześcienu Wenus”) i wiele utworów z tego okresu się ze-starzało (bez nas). Dlatego opowiadania takie dobierać należy szczególnie ostrożnie.

Pomysł opowiadania może się wydawać nie-którym trochę nie na miejscu — nie należy wszakże zapominać, że hiszpański przodkowie del Reya od z górą dwustu lat „wyznawali” ateizm.

Natomiast notka o autorze, co musimy stwier-dzić, roi się od błędów, niedokładności i nie-jasności, sprawiając przykre wręcz wrażenie niekompetencji.

Zaczne od początku. Jeżeli pierwszy akapit zawiera jedynie nazwisko del Reya w pełnym brzmieniu i spis jego pseudonimów, jest to je-dynie zabawna ciekawostka — gorzej, jeśli sa-tu aż cztery strony, bo nawet zabawne ciekawo-stki do tego nie upowiadają. Nie wiem, czy są to tylko „literówki”, ale sprawia to po prostu nie-chłujne wrażenie. Poprawne fragmenty nazwis-ka to: „Silvio” i „Heathcourt”, poprawna piso-wnia pseudonimów: Philip St. John, Edson, McCann (kryje się pod nim spółka del Rey-Pohl, odpowiedzialna za powieść „Preferred Risk”). Co do książek autorstwa Paula W. Fair-mana (przez jedno „n”), trzeba koniecznie do-dać, że pomysłów uzczał mu del Rey i on pozwał też na wydawanie ich pod swoim naz-wiskiem. Należy także wiedzieć, co kto napi-sał. Autorem wymienionych w nocie powieści „The Runaway Robot” i „The Infinite Worlds of Maybe” jest właśnie Fairman.

John Varley debiutował niedawno, ale szyb-ko wyrobił sobie markę. Już jego debiut po-wieszczyło oceniono wysoko.

Twórczość Varleya, a także zaprezentowany nam utwór „Czek w blanco na bank pamięci” jest znakomitą próbą współczesnej amerykań-skiej SF, a przynajmniej tej ocenianej wysoko zarówno przez krytykę, jak i przez czytelników. (Na marginesie chciałbym dodać, iż z przedsta-

wianiem współczesnej amerykańskiej SF w Polsce istnieje ryzyko związane właśnie z od-cięciem nas od korzeni „tradycyjnej” SF, o czym wspominałem już poprzednio, i bardzo często utwory okrzykane najlepszymi w roku i obsypane nagrodami po prostu u nas nie sprawdzają się. Za przykład niechaj służy dwie powieści amerykańskie, wydane całkiem nieda-wno, które fani przyjęli, wyrażając się oglę-dnie, w sposób co najmniej kontrowersyjny, mam na myśli „Wedrowca” Fritza Leibera i „Gdzie dawniej śpiewał ptak” Kate Wilhelm. Nie można, co prawda, odmówić im poziomu literackiego, ale... O grafomanie Bobie Shaw, którego zachodnia krytyka uznaje za „najinteli-gentniejszego brytyjskiego pisarza SF” w ogóle nie chcę się wypowiadać. Zrobią to za mnie wkrótce „Iskry” aż dwoma książkami!).

Tym razem redakcja, jak mi się wydaje, utrafiła w gusta fanów. Przekład (bez porów-nywania z oryginałem) wydaje się przyzwoity, dlatego też ze zdziwieniem dostrzegłem w nim kilka ewidentnych „byków”, których ktoś choć trochę znający angielski nie powinien był po-pełnić.

Na marginesie noty biograficznej o znakomi-tym G. R. R. Martinie: zauważyłem z przykro-ścią brak bardzo istotnych informacji o nagro-dach, jakie uzyskał ten pisarz w ostatnich la-tach:

1980 „Hugo”: „The Way of Cross and Dra-gon” (w kategorii short story)

1980 „Nebula”: „Sandkings” (w kategorii no-velette)

1981 Nagroda redakcji miesięcznika „Locus”: „Nightflyers” (w kategorii novella)

Chciałbym dodać, że short story, novelette, novella oznaczają długość utworu różną od po-wieści. „Pieśń dla Lyanny” nie jest powieścią, jest to „novelette”, czyli „po naszemu” długie opowiadanie.

MAREK S. NOWOWIEJSKI

„Nic dodać, nic ująć”

W tym miejscu zaplanowaliśmy recenzję z polskiej nowelistyki

fantastyczno-naukowej prezentowanej na lamach nowego pisma. Niestety. Począ-ta zawiłła, że tekst naszego warszawskiego współpracownika nie dotarł na czas do redakcji. Siegając zatem do wypróbowanego przez handel sposobu tzw. „zamienników” na artykuły reglamentowane publikujemy recenzję antologii opowiadań wydanej niedawno przez KAW.

Zapowiadana recenzja w najbliższym numerze.

Przystępując do pisania tej recenzji, zamie-rzałem początkowo szczegółowo i w miarę wy-czerpująco omówić wszystkich autorów, któ-rych utwory składają się na część pierwszą antologii, ale w miarę upływu czasu dosze-dłem do wniosku, że nie ma to najmniejszego sensu. Byłoby to w sumie pisanie o niczym, bo

ponarząkać nad stanem polskich wydawnictw SF można, owszem, ale ile do ryżego diabła. Opinia na temat tego, co się wydaje dotarła już chyba do wszystkich (może z wyjątkiem samych wydawców) i dalsze kwękanie nie wniesie do sprawy nic nowego. Stąd ograniczę się jedynie do wrywkowego i skrótkowego omówienia.

Tytuł książki: „SPOTKANIA W PRZE-STWORZACH — I” i podtytuł: „antologia młodych” 79”. Wydawca: KAW, 1982, nakład 100.000 egz.

Sam tytuł pachnie mi lekko skandalem. Ze-by w 1982 r. prezentować młodych anno do-mini 79?! Połowa z nich ma już własne autor-skie zbiorki, więc co to za debiuty?!

Książka składa się z dwóch, wyraźnie róż-nących się części.

Pierwsza, to wstęp red. Wójcika. Zgodnie z tradycją ubolewa nieco nad sytuacją SF na rynku wydawniczym. Dalej rozpytywa się nad niesławne pamięci OKMFISF. Czyżby i dokona-nie tego klubu (w relacji red. Wójcika) zdaje się być na miarę epoki. Faktu, że OKMFISF od czasu niejakiego praktycznie nie istnieje, a przeszło rok temu zostało zarejestrowane Pol-skie Stowarzyszenie Miłośników Fantastyki, zdaje się red. Wójcik nie dostrzegać. A szkoda. I jeszcze jedno. Autor wstępu zdaje się uważać za warcie w antologii utwory za, co najmniej, bardzo dobre, natomiast w opinii członków klu-bu SFAN, najlepsze z nich są co najwyżej po-prawne (nie dotyczy to utworów Z. Dworaka). Reszta — lepiej nie wspominać.

Drużną część książki to już opowiadanie. Zdecydowanie najlepsze są opowiadania ZBIG-NIEWA DWORAKA. Dwa pierwsze: „Anty-bajka” i „Niezwyciężone spotkanie w letnią noc”, będące pod wyraźnym wpływem kultury ro-syjskiej, podobają mi się najbardziej. „Esperia” i „Planeta Grozy” utrzymane są w zupełnie innym stylu, ale czytelnik się naprawdę z przy-jemnością.

Dla kontrastu jeszcze słów kilka o najslab-szym niewątpliwie utworze antologii „Lek” au-torstwa MIECZYSLAWA KURPISZA. Po do-tychczasowych dokonaniach tego „pisarza” nie spodziewałem się po nim już niczego dobrego, ale ten utwór-potwór, moim zdaniem przekra-ża już granice przyzwoitości, w SF przynaj-mniej. Przecież to jest bełkot. No i zakończe-nie, mające ten bełkot usprawiedliwić. Zacytu-ję je w całości:

„Tekst ten powstał w roku 1979 — kiedy to po raz pierwszy w dziejach udało się dokonać analizy i rekodacji RNA zawartego w komór-kach nerwowych osobnika, którego mózg uległ sytuacji w czasie wypadku ulicznego — na język pojęciowy. Można przypuszczać, że tego rodzaju zapisy osiągną z czasem zadowalający poziom artystyczny”.

Nic dodać — nic ująć. Mamy nową metodę tworzenia opowiadań, a nawet powieści fanta-tycznych. Bieremy miarowanie dowolny tekst (np. z histopatologii) lub dowolnego innego źródła) tasujemy z grubszą zdaniami, usuwamy interpunkcję i duże litery (można też pisać sa-mymi dużymi literami), poprzedzamy, lub koń-czymy notką podobną do zacytowanej, zanosimy do Krajowej Agencji Wydawniczej i czeka-my na publikację. I honorarium.

Powodzenia
Darek M.

P.S. W chwili wyciągania tego materiału do redakcji ukazała się druga część omawianej powyżej antologii. Podobno lepsza od pierw-szej. Zobaczymy. Recenzja niebawem.

D. M.

Najważniejsze błędy merytoryczne dostrzeżone w druku

	JEST	POWINNO BYĆ (ew. nasz komentarz)
Okładka str. 2	Pierre Barbett Alim Kashakov	Pierre Barbet Alim Kaszakow
Str. 2 szpalta środkowa	Tragedie zrywania z przeszłością ukazał zresztą niezwykle ostrą w swoim „Roku 1984” — Orwell.	Naprawdę?
Str. 4 szpalta prawa w. 2	zawładniając	Cokolwiek, byle po polsku!
Str. 5 szpalta prawa w. 35	kolega uczy mnie lekarstwa	Smaczne!
Str. 6 szpalta lewa w. 32	totalny system środowiskowy	Angielskie słowo „total” znaczy też: kompletny, całkowity
Str. 6 szpalta prawa w. 28 od dołu.	oczyszczyć umysł z wszelkich nalo-tów	Zwłaszcza bombowych...
Str. 6 szpalta prawa w. 27 od dołu	Psiakrew, zdaje się, że to medium również wyczerpałam.	Psiakrew, biedne medium!
Str. 7 szpalta lewa w. 37	dublowanie to po niemiecku „Dop-pelgänger”	No, niezupełnie. Natomiast „Eppur si muove” to po polsku „Jednak się porusza”
Str. 13 szpalta lewa w. 9 od dołu.	„Obitajemy ostrow”	„Przenicowany świat” — powieść była tłumaczona i w Polsce znana jest pod tym tytułem
Str. 15 nota o Asimowie	wydał ponad 180 tytułów	Już w 1919 r. wydał dwusetna książ- kę
str. 17 szpalta środkowa w. 6	„Pikwick Papers”	„Klub Pickwicka”

I w tym momencie straciliśmy cierpliwość...

Biały człowiek

MAREK NOWAK

MAREK NOWAK. Urodził się 26.06.1957 roku w Sosnowcu, tam też mieszka do dziś. Ukończył Wydział Prawa i Administracji na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach. Pracuje w Państwowej Inspekcji Handlowej w Katowicach. Według jego własnych słów: Interesuje się wszystkim co ciekawe. Otrzymał kilka wyróżnień w konkursach poetyckich i III nagrodę w konkursie na słuchowisko radiowe o tematyce współczesnej w 1981 r. Poniżej opowiadanie jest jego debiutem prasowym w dziedzinie fantastyki.

Jestem nad rzeką. Ciemny maszyn lasu groźnie kontrastuje z żółtym kolorem nadbrzeżnego piasku. Potargane, brudne odzienie nie daje ciepła. Wiem, że mogę być tylko w tym miejscu. Na łacie między lasem a rzeką. Wiem, że zbliża się zima. Marzę o ciepłym, drewnianym domku z paleniskiem pośrodku izby. Marzę o tyku gorącej wody. Marzę o zapachu płacków z grubo mielonej pszenicy. Chcę człowieka. Nie wiem jeszcze, co kryje się za tym określeniem. Może okrutna śmierć? Może rodzina? Bardzo chcę człowieka.

Biorę do ręki kamień. Duży, szary, niekształtny. Biorę drugi kamień. Mały, szary, niekształtny. Łoskot uderzających o siebie kamieni — to przecież ten dźwięk, ta gorąca woda, ten płatek z grubo mielonej pszenicy. Powoli, jeden z kamieni — mięknie. Stałe się posłuszny. Jest już i krawędź. Jeszcze poszarpana, ale już ostra. Jest i pierwszy kamienny ból. Z rozciętego palca płynie ciepła, czerwona krew. Ssę palec i jestem jakby szczęśliwy. Może dlatego, że ta krew jest taka ciepła i taka czerwona. Jest jeszcze we mnie życie. Uderzam kamieniem w drzewo. Rytmicznie i nie za mocno. Zdarła kora odsłania coś białego, ale to nie jest człowiek, chociaż serce uderzyło mocniej kilka razy. To jest mój brat drzewo, któremu zadaje ból bratem kamieniem, a tam w dole płynie spokojnie moja siostra rzeka. Wybaczyć moje drogie drzewa, kamienie i te spośród was, których nie potrafię jeszcze nazwać, które nie macie jeszcze imion... Zbliża się zima! Muszę was krzyknąć... Muszę!

Rano wstałem jak zwykle przygnębiony. Umyłem się, ubrałem i zszedłem na śniadanie. Ojciec z matką siedzieli już przy stole. Matka popatrzyła na mnie tak, jak zwykle patrzy od młodości, zanim zada pytanie.

— Znowu miałeś sen?

— Tak mam. Znowu byłem na łacie między lasem a rzeką.

— Siałeś pszenicę, czy lepiłeś garnki z rzeźnego mchu?

— Nie, tym razem budowałem dom, czy też raczej szalas. Ścinałem drzewa ledwie obrobionym kamieniem. Nauczyłem się w jaki sposób trzymać w ręce kamień, by nie uwiarał. Pod jakim kątem uderzać w pień, by kamień nie pękł. Nauczyłem się wznosić ze sobą kilku galezi za pomocą korzenia...

Matka słuchała, ojciec bez słowa popijał kawę. A ja mówiłem. Wreszcie ojciec, znudzony tym moim codziennym paplaniem, przerwał wątek, gdy opowiadałem o oblepieniu ścian gliną i zapytał czy słyszałem o ostatnim incydencie? Nie, nie słyszałem. A może i słyszałem? W końcu codziennie zdarzają się jakieś incydenty, giną ludzie, przerywane są rozmowy... Nie sposób wszystkiego zapamiętać.

— Było starcie na oceanie indyjskim. Zginęło pięciu marynarzy, może to mieć nieobliczalne konsekwencje — powiedział ojciec.

Mówił dalej, ale tym razem to ja nie słuchałem. Poczułem wyraźnie, jak nigdy dotąd i to nie wie śnie, zapach płacka z grubo mielonej pszenicy.

A więc o to chodzi? Może wśród tych pięciu poległych marynarzy znalazł się ten biały człowiek, którego tak bardzo będę pragnął spotkać. Jego już na pewno nigdy nie spotkam.

Kiedy to będzie? Chyba niebawem. Tak, już niebawem. Za dwa dni wyjeżdżam przecież na wakacje, nad jeziora... Popatrzyłem na rodziców — troskliwych, dobrych... którzy wyparują w ogniu termionuklearnego pieca. Staną się z powrotem tą pierwotną materią, z której wszystko powstało. Za miliony lat, gdy ktoś... Kto? Zetknie się... Czy pomyśli, że być może kiedyś...? Nie pomyśli. Tak jak ja teraz nie zastanawiam się biorąc do ręki filiżankę kawy. Ale ja przetrwam. Nieznana siła sprawcza zakwalifikowała mnie do przetrwania. W czasie nocnych transmisji nauczyła mnie sposobu postępowania w tym przyszłym, bezludnym, nie-nawistnym świecie. Kara to czy nagroda? Ilu jest nas takich? Czy życie jako takie ma aż takie znaczenie i sens, by je tutaj, na Ziemi, za wszelką cenę podtrzymywać? Nawet za cenę cierpienia i nadludzkiego wysiłku wybranych jednostek? Komu na tym zależy? Matka powiedziała, że „to Bóg cie synu powołał”. Ojciec wzruszyłby tylko ramionami. Szesnasto-latek zaraz by strzelił, że to na pewno Marsjańskie, dobre duchy naszej planety, którzy są rozmawiani w rodzaju ludzkim. Ja nie mam wyrobionego zdania w tym względzie. Być może to sama natura — ten ogół bytów i niebytów niezmiernego wszechświata, zatroszczyła „się o tę najwyżej zorganizowaną formę istnienia”. Może to ja sam, nieznany mniemam przyczyną nadchodzącej katastrofy? A reszta, to już tylko odpowiednie przedstawienie instynktu samozachowawczego? Wszakże wiem jedno: przetrwam! Przetrwam, by harować w pocie czoła, by zrywać sobie ścięgna w nadludzkim wysiłku. Po to by... Co? Co będzie potem?

12

Wirolot Svena na pełnej szybkości przebieł się przez mglistą zasnę. W dole, gdzie nie spojrzeć, rozpościerała się selwa.

Jedną rzecz niepokoiła Svena. Dość dobrze znał okolicę, miał też pod ręką mapy. Ale teraz, od czasu do czasu zauważał w dole jakieś nieznane mu dotąd jeziora czy wypalone plamy, których nie było na mapie.

Henry przycichł. Nie miał co robić. Łączności nie było i tak, a śledzenie z założonymi rekami stało się nie do wytrzymania. Sven także milczał. Nie przychodził mu do głowy żaden temat nadający się na rozmowę.

Po kilku minutach od minięcia pierwszego ekranu siłowego, natknęli się na jeszcze jeden. Próba przekroczenia go o mało nie skończyła się katastrofą; Sven na moment stracił przytomność i wirolot zaczął spadać. Na szczęście omdlenie Svena trwało krótko i wszystko skończyło się szczęśliwie.

Huśtawka Pustelnika

WIKTOR KOŁUPAJEW

Kilkadziesiąt kilometrów od drugiej bazy po-konali trzeci ekran siłowy.

Kiedy pokazywały się kopuły drugiej bazy, Henry gotów był rzucić się w dół bez spadochronu. Ale po minucie stało się jasne, że baze opanowała selwa. Urządzenia zabezpieczające nie działały.

Nad kopułą pomieszczenia mieszkalnego wirolot obniżył lot. Huk jego silnika na pewno rozległ się w całej bazie, ale nikt nie pojawił się pod przezroczystymi kopułami. Bardzo wolno oblecieli kopułę pomieszczenia mieszkalnego. Tak, w tym miejscu nikt nie mógł ich spotkać. Wszędzie widoczne były ślady zniszczeń. Sama kopuła popekała w kilku miejscach i ziała teraz metrowymi szczelinami. Można było ujrzeć połamane belki i żelbetowe przepierzenia, zniszczone meble i porozbijaną aparaturę.

— Co to? — rzekł Henry z trudem wymawiając słowa.

— Selwa, jednak selwa — szepnął Sven.

— Wypuść mnie.

— Henry, wypuszczę cię. Tylko najpierw ustalmy plan. Umiesz obchodzić się z miotaczem ognia? W takim razie wejdź ze sobą. Schodź najpierw przez pęknięcia w kopułach. W środku tego pełzającego świata już nie jest tak dużo.

Sven zaciągnął na nim pas, wsunął w ręce miotacz ognia, na ramieniu powiesił blaster.

— Nie odchodzić daleko od pęknięć. Lepiej zrobić nowy otwór. Teraz to już i tak wszystko jedno — dawał Wirtowi wskazówki na drogę, spuszczaając go na linie z otwartej kabiny wirolotu.

Wirt stał na okrągłym podłożu drugiej piętra, na który wychodziły drzwi licznych pokoi. Było ich dwanaście, ale tylko w czterech z nich niedawno zamieszkiwali ludzie.

Otworzył drzwi do pokoju Ozy i w tym momencie coś się na niego rzuciło. Nad głową rozległ się grom i to „coś” plasnęło koło jego nóg, słabo wijąc się, drgając i wydzielając smrodliwą woń. Sven wystrzelił w samą porę.

Najszustniej byłoby teraz przeciągnąć po pokoju płomieniem z miotacza i dopiero wtedy wejść do środka. Ale wówczas spaliłoby się wszystko, co kiedyś otaczało Oze. Henry przekroczył próg i wszedł do pokoju. Wszystkie meble były zniszczone i poprzewracane. Nie znalazł tu ani jednego z całego przedmiotu Niski, kiedyś miękki tapczan był rozpruty. Wbudowana w ścianę szafa na ubrania była wyrwana i rzucona na podłogę. Henry odwrócił ją, ostrożnie otworzył. Szafa była pusta. Nocny stolik stał do góry nogami na przenośnym magnetofonie. Nie, nie było w nim taśmy. Bezużyteczny przedmiot Henry stał przez kilka minut, oglądając pomieszczenie, dopóki znowu nie zagrzmiął wystrzał.

Sven siedział na podłożu wirolotu, zwiśnięszy jedną nogę na zewnątrz, plecami oparłszy się o futrynę drzwi od czasu do czasu naciskał język spustowy miotacza.

Z góry doskonale widział, co się działo pod przezroczystą kopułą, a oszczędzając tej kopuły nie było teraz sensu. Strzelał więc prosto przez przezroczysty plastik. „Woreczki” — tak były tu nazywane — w jakiś sposób czuły obecność człowieka i teraz wyłaziły ze wszystkich szpar pomieszczenia mieszkalnego. Zaczynały dopadać ofiary skoki, choć nie miały nóg. Kiedy przednia część woreczka bez głowy, dotykała ofiary, on jakby wywracał się na lewą stronę, ściśle obejmując swoją ofiarę i swoją wewnętrzną powierzchnią zaczynał trawić. Aby dopaść następnej ofiary nie potrzebował się „przewlekać”. Teraz powierzchnia

wewnętrzna była ta, która dopiero co była na zewnątrz.

— Henry! Nie odchodzić za daleko! — krzyknął Sven. — Zatrzymam je tylko na jakieś pięć minut. Dłużej nie dam rady. Słyszysz mnie?

Wirt milcząco chodził po pustych pokojach.

— Słyszysz mnie? — znowu krzyknął Sven w przerwie między wystrzałami.

Henry machnął ręką, co miało oznaczać, że słyszy. Jego serce wciąż załomotało. Jeden z pokoi był pusty. Zupełnie pusty. W ścianie, która wychodziła na zewnątrz, obok pęknięcia zauważył kilka wypionych otworów. Ktoś tu strzelał z blastera. Samo pęknięcie też było zrobione przez wystrzał miotacza ognia.

— Henry, łap za pas! — krzyknął Sven. — Ich jest za dużo!

Wirt obejrzał się. Niezgrabnie na oko woreczki zbliżały się szybkimi skokami. Posłał strugę ognia do przodu i naciskał język spustowy do momentu, aż skończyła się ciecz zapalająca. Wtedy rzucił bezużyteczny miotacz i przebiegłszy kilka kroków, ucpił się pasa. Sven nie wypuszczając z rąk miotacza podniósł

Co mogło znajdować się w zaplombowanej naглуcho kopule? Dokumenty? Ludzie? Kto pozostał na zewnątrz? Po co?

— Sven, oni powinni mieć jeszcze dwa łaziki. Maszyny powinny stać koło wirolotów.

— Ale nie ma ich tam.

— To znaczy, że ktoś postanowił łażkami przebiec się na trzecią bazę lub na Centralną. Przecież on szedł na pewną śmierć!

Wirolot jeszcze kilka razy okrzyki zapieczę-towanej naглуcho kopule.

Nagle drążek sterowy wysunął się z ręki Svena.

— Oza! — krzyknął Henry.

Oparłszy się rękami i czołem o ścianę kopuły, od wewnętrznej strony patrzyła na nich kobieta.

— Oza!

13

Łańcuch akumulatorów ciągnął się od Centralnej Stacji po dwa kilometry na północ i południe. Były to ogromne, białe cylindry z mnóstwem przystawek, masztów, rozdzielników, schodów i wind. Normalnie były nadzorowane przez dziesięciu inżynierów pilnujących, by ilość energii nie przekraczała określonej normy. Był stąd zasilany system ochronny, tworzący pole siłowe wokół całego terenu Centralnej. Ale żeby zasilić urządzenia ochronne, tak duża ilość akumulatorów nie była konieczna. Do normalnej pracy ochrony wystarczała trylionowa część energii zgromadzonej w akumulatorach.

Nikołaj dotarł łażkiem do pierwszego z nich, wyskoczył i wszedł do windy, która po kilku sekundach dowiozła go do nastawni. Niewielka, jasna sala z mnóstwem przyrządów wywarła na nim odpychające wrażenie. Jak się w tym wszystkim połapać? Szybko jednak zorientował się, że wcale nie musi znać przeznaczenia wszystkiego. System kontroli kierowania akumulatorami był zupełnie prosty. Zapisal wskazania licznika ogólnego, wyjął taśmę z samopisu, rejestrującego ruchy w poszczególnych dniach, godzinach i minutach, założył nową taśmę, po czym zjechał na dół. Taśmę wsunął w kieszeń fotela i pobiegł do drugiego akumulatora. Tam wykonał te same czynności. Potem obejrzał trzeci, czwarty...

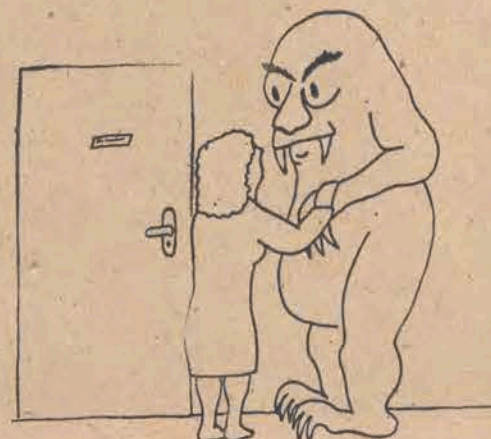
Winda piątego cylindra była podciągnięta do góry. Nikołaj kilka razy nacisnął guzik próbując ściągnąć windę, ale bez rezultatu. Pomyślał, że winda jest zepsuta, ale nagle zamigotały lampki na tablicy kontrolnej. Winda zjeżdżała z dziesiątego piętra. Następnie zatrzymała się na piątym, gdzie znajdowała się nastawnia. Nikołaj znowu spróbował wezwać windę, ale była zajęta. Nagle winda znowu poszła w górę. Nikołaj walnął pięścią w tablicę, ale to rzecz jasna niczego nie zmieniła. Wtedy odbiegł na bok i przez ażurowe kratownice ujrzał, że winda rzeczywiście jedzie. Ostrożnie, starając się nie robić hałasu, wśliznął się do luku łażka i na najbliższych obrotach silnika skierował się do czwartego akumulatora. Tam wskoczył do windy i wyjechał na ostatnie — dwunaste piętro. Był to płaski dach akumulatora. Chowając się za masztami podszedł na skraj dachu... i o mało nie spadł z siedemdziesięciometrowej wysokości. Sąsiedni cylinder znajdował się w odległości około 150 metrów. Po jego płaskim dachu przechadzało się kilka postaci. Kratownica windy piątego akumulatora skierowana była w stronę Trajkowa, który zauważył, że sama winda znajduje się też na dwunastym piętrze. Jeśli istoty znajdowały się na dachu chociaż przez dwie minuty, to powinny widzieć jego łażki. A on jeszcze tyle razy próbował ściągnąć windę.

Z tej odległości na wpół nagle figuorki wydawały się małe, ale porównawszy siebie ze szczegółami masztów, Nikołaj doszedł do wniosku, że nieznani ludzie są prawie tego samego wzrostu co on. Mieli opalone ciała. Ubrani byli w szorty, a na nogach mieli coś w rodzaju sandałów. Byli bez koszul. Głowy gołe. Jeden z nich trzymał w ręku coś w rodzaju ogromnego arkusza papieru. Na ramieniu każdego wisiała krótka pałka, bardzo podobna do blastera.

Na samym początku bardzo dokładnie ustalił, że na Pustelniku nie ma ludzi. Nie ma w ogóle żadnej inteligentnej formy życia.

Kim w takim razie są ci ludzie?

Nik wezwał Eri'ego.



Nie martw się kochany, przekonam rodziców o wielu twoich zaletach.

Rys. Jarosław Szymański

kolumna ajencyjna

KOLUMNNA DZIESIĄTA B
(wysoce eksperymentalna)

KĄDZY, KTO DRUKOWANE TU TEKSTY TRAKTUJE
SERIO — CZYNI TO NA WŁASNĄ ODPOWIEDZIALNOŚĆ!

W ybitni erudyci wiedzą, że taki — dajmy na to — Koźma Prutkow naprawdę nigdy nie istniał, zaś sygnowane przez niego utwory pisywały dla psich figli trzy bracia Żemczużnikowowie i bratnia Aleksander Tukstoj. Z Janem Gwóźdźem podobnie, a najsmieszniejsze, że to my, Ajent — jeszcze w ramach gastronomii państwowej — robiliśmy w tym interesie za hrabiego, udzielając początkującym autorom dobrych rad, drobnych pożyczek, a czasem nawet stawiając piwo. Odwiedziliśmy się, a jakże, obrzydliwym paszkwilem. Zośka pracowała u nas jako kelnerka (i oczywiście nie myślała z hyle Gwóźdźami się zadawać, stąd małoduszna zemsta), zaś kiosk to tak zwana licentia poetica, w istocie chodzi o barek. Wnioski i ocenę moralną całej sprawy — pozostawiamy Czytelnikom.

Jan Gwóźdź

MODLITWA DO ANIOŁA STRÓŻA

Aniole Stróżu, dobry mój,
ty zawsze przy mnie wiernie stoisz,
gdy chce na wódkę iść — daj kopa,
gdy chce flirtować — przylej to ucho,
bo chociaż te mnie dobry chłopak,
to z silną wolą diabła kruchego.

Lej mnie, aniołku, a dokładnie,
na żadne głupstwa nie pozwalaj —
zamiast w rozpustę grzeszną bagnać,
wólę tuż trafić do szpitala.

Lekarz w zdumieniu wzniósł brwi:
— To chuligaństwo — mrucnił z cicha —
na skroni ciete rany trzy
(Felek namacał do kielicha).

Guz na cielemieniu (Zośka ruda,
która dość rzadko mówi „nie”),
kopniaka ślad nowicjusza uda
(o żonie swej myślałem ile).

Zwichnięta ręka (tu kłosek „Ruchu”
fałszy panny Heli biuś),
pęknięte tchre (było kruchego,
sejke wlewałem już do ust).

Wylew w kolanie (na wprost będra,
kusi lokalik „Różę kwiat”),
tupież, skleroza i ruptura
(dodatek za wysługę lat).

Naddarte ucho (piwko male),
goleń trąkaniem, co tu kryć,
oraz ostrząs mózgu (zapomniałem,
lecz także coś musiał być).



I to już cały rejestr win,
na szczęście win niepopielonych
— aniołku, kimże byłbym kim,
bez twojej opieki i obrony?

Tęraz pan doktor mnie wyliczy,
opuka piśnie kości stare
i odda je fachowej pieczy
troskliwych, miłych pielęgnarek.

O, właśnie jedna przeszła próg,
jest wiotka, śliczna i urocza...
— Aniołku! Jakżeś ty tak mógł,
bij mnie, lecz przecież nie po ośrech!

Rubryka do wynajęcia

Tak się jakoś narobiło ze „RUBRYKA DO WYNAJĘCIA” — została już wynajęta i to przez Eugeniusza Iwanickiego, którego rozmowy z panem T. — tak się nam podobały, że postanowiliśmy Autora wszechstronnie dopieszczać. Dajmy zatem na przykład rzecz od góry w ramce z kolorową wstawką i jeszcze dokładając do tego honorarium. Istne szaleństwo, nie zawsze będzie jednak aż tak słodko. W ramach walki z nawisem inflacyjnym chcemy bowiem dla rozmałości skłonić niektórych innych twórców, aby to oni właśnie dopieali do interesu. Regulamin korzystania z „RUBRYKI DO WYNAJĘCIA” — w opracowaniu.

Eugeniusz Iwanicki Klasztor dla ateistów czyli rozważania pana T.

— Było dwóch przyjaciół — opowiadał T. — Poeta i krytyk. Właśnie ukazał się bardzo mierny tomik poety, o którym krytyk napisał entuzjastyczną recenzję. „Dla czegoś to zrobił?” — pytało krytyka. — Przecież sam nie wierzyysz w to co napisałeś”. Odpowiedział: „Nie wiem, czym być lepiej: głupcem uprawiającym grafomanię, czy kłamcą, o którym wiedza, że robi to z litości”.

wiek szukający ludzi bez sumienia — poprawił T.

O pewnym prozaiku. I. powiedział: — Jego powieści posiadają przedziwną głębię: nigdy w sobie nikogo nie wciągają.

— Pisałem — skarżył się pewien literat — aż nagle poczułem, że jestem sam. Pojąłem wówczas, że opuściło mnie natchnienie.

— To niemożliwe — zwątpił T.

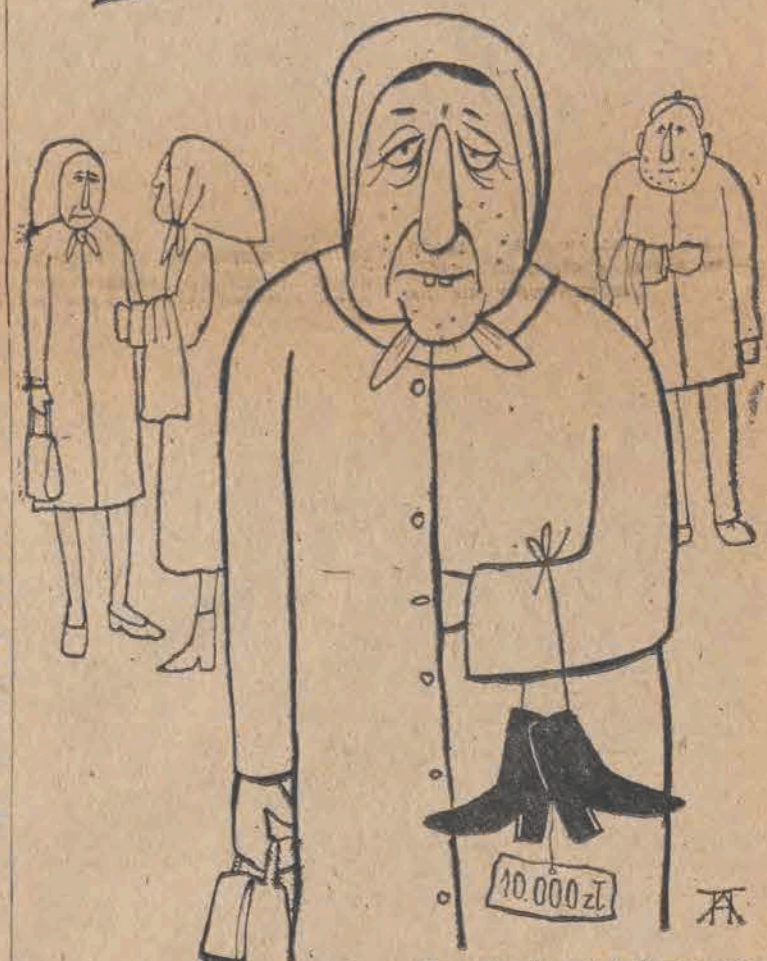
— Jak to?

— Bowiem, nie można

utracić czegoś, czego się

nigdy nie miało.

CENA STRACHU



Rys. Andrzej Adamowicz

TYLKO U NAS! Rozmowa (w odcinkach) z Bernardem Sołtysikiem

Nie mogąc po prostu patrzeć, jak niektóre teksty nie tyle marnują się, co marnują w redakcji „Odgłosów”, czekając i czekając w kolejce do druku, zrobiliśmy prośbę wyłudzić nam jeden z nich. Mianowicie rozmowę z BERNARDEM SOŁTYSIKIEM, która przeprowadził BOHDAN GADOMSKI. W sposób zaskakujący i odkrywczy drukujemy ją w odcinkach co czytelników zainteresuje. KOLUMNNA AJENCYJNEJ powinna zachęcić do lektury „kolumny” następnej, zaś ci którzy zagapili się w tym tygodniu o tyle nie stracą, że przed drukiem drugiej części rozmowy — przystępnie streszczemy część pierwszą. ZA AJEN KUZYN AJENTA



Bernard Sołtysik

Foto: Zdzisław Walter

O nowej polskiej grupie rockowej „Pro Rock” i solistce Gaydze oraz głośniejsze obecni na krajowych listach przebojów, niedawno zaprezentowali się w elektrycznym recitalowym programie TVP, ale może nie wszystkim wiadomo, że zespół ten zaistniał i odnosi sukcesy dzięki osobie założyciela, kompozytora, muzyka (instrumenty klawiszowe), aranżera, menagera i kierownika muzycznego — BERNARDA SOŁTYSIKA. Znany i doświadczony muzyk, od lat związany z Łodzią, opowiada Czytelnikom „Odgłosów” o niedawnym wojazach zespołu „Pro Rock” po ZSRR i Mongolii.

— Podobno byliście pierwszą grupą estradową z Polski, która wyjechała w czasie stanu wojennego na dłuższe tournée po Kraju Rad i Mongolii? — Po półrocznej przerwie w eksploatacji programów estradowych z Polski do Krajów Demokratycznych Ludowej, Pagari zgłosili „Goskoncertowi” w Moskwie, kilka propozycji estradowych z udziałem polskich grup muzycznych i solistów. Zostaliśmy zaproszeni jako pierwsi. Może zdecydowało o tym nasze poprzednie 7-miesięczne tournée (z przerwą) z dwoma programami: własnym — „Pro Contr” i Stefana Zacha oraz z międzynarodowym — „Złota Jesień”. Chyba dobrze zapisało się w pamięci radzieckiej publiczności, skoro wybrano właśnie nas.

Nie byliśmy dziwacznym objawieniem...

— Która to już Pana artystyczna wizyta w ZSRR? — Na koncertach w ZSRR spędziłem łącznie 4 lata na trzech koncertach. Byłem wszędzie od republik europejskich po Kaukaz do południowej Azji i Syberii. W Mongolii byłem w raz pierwszy, bardzo chciałem zobaczyć ten kraj i jego tak odmienną od naszej kulturę. Tym razem daliśmy w ciągu 7 tygodni 42 koncerty w ZSRR i 22 w Mongolii. — Jak przyjmowali się polscy artyści estradowi w Kraju Rad? — Ojciec o polskiej estradzie jest w ZSRR znakomity na przykład wystarczająco zapowiedział, że odbędzie się koncert polskich artystów z frekwencją jest zapewniona. Radziecka publiczność rozgarnięta stule muzyczne a szczególnie lubi duże okłone głosy

W ramach JUBILEUSZU

który obchodziliśmy, obchodzimy i będziemy jeszcze obchodzić, postanowiliśmy przeprowadzić coś w rodzaju małego eksperymentu. Oto na niniejszej KOLUMNIE AJENCYJNEJ 10B (ilustracji jest niemal tyle samo, co tekstów, z kolei teksty zmieniły częściowo swój charakter. Na przykład zamieszczona poniżej rozmowa z Bernardem Sołtysikiem odbyła się naprawdę i — co wydaje się nam szalenie oryginalne — ani trochę żartem nie jest. Co zaś jest żartem — pozostawiamy domysłowości Czytelników.



Przykładem autentycznej kariery na tamtejszym rynku jest znana niedawno Anna German. Wiadomość o jej śmierci podał wszystkie radzieckie środki masowego przekazu. Bardzo lubiana jest Zdzisława Sośnicka a także Marcela Rodowicz, Krzysztof Krawczyk i Stefan Zach. Swoją własną publiczność mają zespoły młodzieżowe „Skaldowie” i obecnie „Kombi”, rozpoczynające w listopadzie tournée po ZSRR. Nie znana jest jeszcze tak popularna u nas Kora, a Izabela Trojanowska tylko z polskich programów radiowych i telewizyjnych. Obecnie śpiewa w ZSRR Alicja Majewska, również nie znana tam do tej pory.

Do Mongolii jeździ niewielu polskich wykonawców, dlatego dobra opinia cieszy się niestwierdzone polska grupa Bractwo Kurkowe. Po dwuletniej przerwie byliśmy pierwszym zespołem z Polski. Przekonał się, że mongolska publiczność najbardziej jest doskonale zorientowana w światowej muzyce rozrywkowej. Po naszych występach możemy powiedzieć, że mamy już tam swoich fanów na ostatnich koncertach zauważyliśmy, że mon-

golska młodzież przyjechała nas obejrzać po raz drugi, może trzeci.

— Na tych koncertach zaprezentował Pan nowy zespół, nowa wokalistyka i nowa muzyka. Nowości nie zawsze się sprawdzają, bo publiczność woli znanych i uznanych artystów? — Zgadza się, dlatego też w

ZSRR występowałem pod nazwą dawnej wypróbowanej tam firmy „Pro Contr”. Nowością była solistka Gayza, choć jako Krysią Stolarską jest tam również dobrze znana, gdyż była liderką „Pro Contr”. Tym razem okazała się w rockowym rebrastu. Po raz pierwszy grała na radzieckich estradach na elektrycznych skrzypkach co było atrakcją bardzo mile widzianą. Trudno jest mi mówić pochlebnie o sobie, ale był to chyba pierwszy sukces. Towarzystwo nam bardzo duże za interesowanie ze strony prasy (znakomite recenzje) radia i TV. Dodam, że na koncerty do ZSRR przyjeżdża cały estradowy świat i konkurencja jest bardzo silna. — Wasz rockowy show i Gayza w włosach w siedmiu odcieniach szokują polską publiczność. Jak

reagowali na Wasz dość odważny atak na estradowy mongolski widowiec?

— Byli rzeczywiście zaskokowani, ale nie byliśmy dziwacznym objawieniem, lecz po prostu jedną z wielu propozycji estradowych. Fakt, że podobaliśmy się tam nazwaliśmy sukcesem.

— Konkurencja w kraju szepiała, że aby przebić uwagę widzów, byliście reklamowani jako zespół pieśni i tańca?

— Nie mnie tuż nie jest w stanie zdziwić tylko jak mogłoby być zapowiadani jako zespół pieśni i tańca? — Nie, nie, nie, nie jest w stanie zdziwić tylko jak mogłoby być zapowiadani jako zespół pieśni i tańca? — Nie, nie, nie, nie jest w stanie zdziwić tylko jak mogłoby być zapowiadani jako zespół pieśni i tańca?

— Mówiło się również, że „komotewa” programu było nazwisko popularnego w ZSRR Stefana Zacha? — Stefan Zach nie mógł być mniej znany od „Pro Contr”, bowiem wszystkie wyprawy do ZSRR odbywał właśnie z tą grupą. W programie występowała swoim północnym pierwszą częścią druga część należała do Gayzy i „Pro Contr” (czyli „Pro Rock”).

C.D.S.

Zdarzyło się to raz po zapowiedzi ogłoszenia pierwszych wyborów w Hiszpanii (1977 r.) Według przecieków z pałacu królewskiego, cała scena miała przebieg następujący:

Na audyencję przybywa dwu generałów, kiedyś mocno związanych z caudillo.

— Czy generał Franco by na to pozwolił? — rzuca jeden z nich i wylicza powody niezadowolonych wojskowych.

— Słuchajcie mnie uważnie, panowie generałowie — odpowiada Juan Carlos. — Możecie mi powiedzieć wszystko, prócz jednej rzeczy: że Franco zmarł i powiniście to raz na zawsze zrozumieć. Teraz Hiszpania przybiera taki kształt, jaki my jej nadajemy — wy, ja, wszyscy Hiszpanie.

Nowy kształt polityczny nadał Hiszpanii zwłaszcza ostatnie wybory (28 października br.). Znamienny jest fakt, że ugrupowania skrajnej prawicy, faszystowskie i falangistowskie, otrzymały znikomą ilość głosów, wyrażającą się ułamkami jednego procenta. Partia „Solidarność hiszpańska”, na czele której stoi główny bohater zamachu stanu w lutym ub. roku i skazany na 30 lat więzienia, pułkownik Antonio Tejero, zdobyła w wielomilionowym elektoracie zaledwie 25 tys. głosów.

Pułkownik Tejero, którego kandydatura miała raczej charakter prowokacji politycznej, niż obliczonej na sukces w grze wyborczej, przeżywa w luksusowym areszcie, nosi mundur i zachowuje wszystkie należne oficerowi przywileje; rząd regularnie wypłaca mu pensję, a służba „wiezienna” i cała kurtuazja codziennie obsługuje jego gości. Z pewnością ta pełnia praw oficerskich (do czasu uprawnienia się wyroku) jest honorowana dlatego, iż nie został jeszcze zreformowany w Hiszpanii system prawny, ale też i dlatego, że poprzedni rząd Unii Centrum Demokratycznego zachowywał szczególną lekkość wobec reakcyjnych przywódców armii.

Wprawdzie w miarę upływu lat stara kadra frankistowska wykruca się, a ekstremiści z krzyżami żelaznymi za kamicą pod Moskwą (weterani „Błkitnej Dywizji”) tracą swe wpływy, niemniej jednak niebezpieczeństwo zamachu stanu — jak o tym dowodzi choćby wykrycie spisku tuż przed ostatnimi wyborami — nadal istnieje. Tę bardziej, że w Hiszpanii są bogate tradycje w dokonywaniu golpe. Począwszy od połowy XIX wieku dokonano tu co najmniej 40 zamachów stanu — udanych i nieudanych.

Jeśli dzisiaj, w przededniu siódmej rocznicy śmierci gen. Franco, jego zwolennicy w armii, i nie tylko, nie mogą czegoś pojąć, to przede wszystkim fakt: jak to się stało że w przeciagu tych kilku lat

Hiszpania — z lewa i prawa

HENRYK SROCYŃSKI

Hiszpania przeszła od dyktatury do rządu socjalistów. Ze otrzymała pierwszy od zakonu wojny domowej w 1939 roku rząd lewicowy.

Zwycięstwo Hiszpańskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej, które wzbudziło tak wielkie echo w Europie, przewidziane było przez biura badania opinii z rzadko spotykaną precyzją. Zawiodły natomiast prognozy w stosunku do Unii Centrum Demokratycznego, która sprawowała władzę od pierwszych wyborów i która w ostatnim czasie, po rozłamie, dokonywała politycznego samounieszczenia się; UCD po zdobyciu zaledwie 12 mandatów praktycznie została wyeliminowana jako siła polityczna.

Socjaliści zawdzięczała swój sukces, jak to po wyborach określano w Hiszpanii, zdecydowaniu się społeczeństwa po tej stronie, która jest przeciwną frankistowskiej przeszłości. I jeśli teraz, po upływie tych kilku lat od śmierci caudillo, dokonuje się podziału tego okresu na etapy, wyodrębniane są przynajmniej cztery takie fazy.

Faza I — walka frankistowskiej strażnicy tylniej. Juan Carlos został proklamowany jako król Hiszpanii w siedem dni po śmierci dyktatora. W swym pierwszym przemówieniu politycznym w Kortezach apelował do Hiszpanów o „budowę społeczeństwa wolnego i nowoczesnego”. W dwa tygodnie po tym Carlos zatwierdza Ariasa Navarro na stanowisko szefa rządu; Navarro piastował to stanowisko od 1973 r. i był bliskim współpracownikiem gen. Franco. Utworzony „rząd królewski” wyklucza ogłoszenie powszechnej amnestii, utrzymuje zakaz wielkich zebrań politycznych, dokonuje licznych aresztowań w czasie manifestacji. W kraju — wśród falangistów, w armii, a z drugiej strony w społeczeństwie — wrzę. Sytuację rozładuje dopiero dymisja Ariasa Navarro.

Faza II — odwilż. Desygnowany przez króla na stanowisko premiera popularny w kraju dyktator telewizji madryckiej Adolfo Suarez, tworzy rząd (3 lipca 1976 r.), składający się z ludzi młodych, bliskich chrześ-

cijańskiej demokracji. Pod wpływem wielkich manifestacji, król ogłasza pierwszą amnestię dla więźniów politycznych. Kolejne znaczące wydarzenia w tymże roku to: dymisja bądź przeniesienie do rezerwy kilku frankistowskich generałów, a próbowanie przez Kortezy reformy politycznej dającej Hiszpanii możliwość wyboru parlamentu przez cały naród, referendum w sprawie tej reformy (95 proc. oddanych głosów aprobuje program A. Suareza), oraz zlikwidowanie Trybunału Porządku Publicznego (sądy wojskowe) i uwolnienie 3 przywódców KPH, w tym Santiago Carrillo.

Faza III — dojrzewanie demokracji. Od 1977 r., na początku którego ogłoszono dekret zobowiązujący wojskowych do zachowania całkowitej neutralności politycznej oraz ogłoszono decyzję o legalizacji siedmiu partii politycznych i koalicji — o legalizacji KPH, rozpoczyna się okres urzędowania na pełną skalę reform demokratycznych. Zasadnicze znaczenie dla kontynuowania tej polityki miały pierwsze wybory powszechne, w których zwycięstwo odniosła Unia Centrum Demokratycznego, na czele z A. Suarezem. Gładkie przejście Hiszpanii od dyktatury do rozwijających się form demokracji, zaskoczyło polityków, socjologów i całą prasę europejską. Nikt wcześniej nie przewidywał i nie wierzył w taką możliwość.

Faza IV — rządy lewicowe. Jeszcze w ubiegłym roku zarzysowały się dobre perspektywy dla Hiszpańskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej. Wiało się to ze zwycięstwem socjalistów francuskich (w czerwcu) i greckich (w październiku), które stwarzały dobrą koniunkturę międzynarodową oraz z dokonującym się rozłamem w rządzącej Unii Centrum Demokratycznego, sterującej coraz bardziej na prawo. Próba zamachu stanu w lutym ub. roku i wyraźne zagrożenie demokracji w Hiszpanii, skłoniły jednak socjalistów hiszpańskich do zrezygnowania z politycznej konfrontacji z partią rządzącą. Socjaliści uznawali za nadrzędną sprawę konieczność obrony uzyskanych

swobód, zgodzili się na współdziałanie z rządzącą UCD w ramach tzw. koncentracji politycznej. Szokująca decyzja z sierpnia br. o rozwiązaniu parlamentu i przeprowadzeniu przedterminowych wyborów, która została podyktowana rozpadem Unii Centrum Demokratycznego, mogła przynieść sukces wyborczy tylko tym, którzy oferują realny program pokonywania hiszpańskich trudności — nadzieje wiały się właśnie z socjalistami.

Prawdę powiedziawszy socjaliści w swoim programie „O zmiany” niewiele proponowali. Od początku byli oszczędni w słowach, a zwłaszcza w obietnicach. Jedynym jasnym punktem w ich platformie wyborczej było zapewnienie, że w ciągu czterech najbliższych lat stworzą 800 tys. miejsc pracy. Mniej lub bardziej konkretnie wypowiadali się w kwestii długości tygodnia pracy oraz niektórych ubezpieczeń i świadczeń społecznych. Zdecydowanie odciął się od posunięć radykalnych, a zwłaszcza takich jak nacjonalizacja i ograniczenie zysków kapitału. Sam Felipe Gonzales, sekretarz generalny PSOE, przyznawał, że nie posiada żadnych cudownych remediów na poprawę sytuacji gospodarczej. Wielokrotnie jednak powtarzał w swych przemówieniach, że po doświadczeniu do władzy podda reformę Hiszpanii w NATO pod referendum. F. Gonzales twierdził, że integracja Hiszpanii z Sojuszem Atlantyckim nie osiągnęła jeszcze takiej fazy, by było niemożliwe opuszczenie sojuszu.

Określenie partii socjalistycznej partii lewicową ma raczej charakter umowy. Z dość radykalnego programu PSOE uchwalonego na kongresie w 1976 r. niewiele pozostało. Trzy lata temu partia ta odrzuciła swoją dotychczasową marksistowską platformę i krocy raczej pravicowym kursem umiarkowanych partii zachodnioeuropejskich. Przypisać to należy zarówno wpływom socjaldemokracji zachodniemieckiej, jak i ukladom sił wewnętrznych w Hiszpanii, obawom wynikającym z reakcyjnej postawy znacznej części armii.

Przed charyzmatycznym i potrafiącym dobrze przemawiać 40-letnim przywódcą socjalistów, Felipe Gonzalesem, stoją dwa najtrudniejsze zadania: pierwsze — jak poprawić sytuację gospodarczą w kraju i po drugie — jak uwolnić Hiszpanię od nieustannej groźby zamachu stanu.

„Za Franco było lepiej” — tej treści hasła wielokrotnie pojawiały się na murach w miastach Hiszpanii. Reakcja pragmatyczna w ten sposób przekonywała, że przyczyną kryzysu są rządy demokratyczne. Pomijając już fakt, że od czasu śmierci Franco żadna reforma nie dotknęła struktury gospodarki i nie naruszyła stanu posiadania kapitalistów oraz obszarów, trzeba powiedzieć, iż przy wielu słusznych oskarżeniach partii opozycyjnych pod adresem rządzącej Unii Centrum Demokratycznego, rzadko bądź tylko ogólnie przypisywano jej winę za obecną sytuację ekonomiczną kraju. Kryzys gospodarczy w Hiszpanii rozpoczął się bowiem jeszcze za życia caudillo, kiedy to po okresie wielkiego boomu gospodarczego, dąży o sobie znać poważne trudności, zwłaszcza związane z kryzysem energetycznym.

Jeszcze w 1973 roku, gdy rozwijało się bezrobocie i kryzys ekonomiczny coraz bardziej dawał o sobie znać, niemal cała opozycja parlamentarna w Hiszpanii wyraziła poparcie dla rządzącej Unii Centrum Demokratycznego; podpisano wówczas „kompromis historyczny”, w którym opozycja zgodziła się wspierać rząd w zamian za realizację planu reform politycznych i ekonomicznych nazywanego „paktem z Moncia”. W ośrodku lewicy i związków zawodowych zgodzili się z tym, że podwyżki płac nie będą całkowicie pokrywać wzrostu kosztów utrzymania; w zamian rząd miał zwiększyć wydatki na rozwój szkolnictwa, opieki zdrowotnej, na pomoc dla bezrobotnych oraz pomoc dla przedsiębiorstw znajdujących się na granicy bankructwa. Rząd zobowiązał się także do stworzenia określonej ilości miejsc pracy. Idąc na taką ugodę z Unią Centrum Demokratycznego, opozycja, a zwłaszcza socjaliści, uz-

nali, że trzeba dać czas rządowi na umocnienie demokracji i dalszy demontaż frankizmu.

Niestety, kryzys gospodarczy Hiszpanii pogłębiał się. W ostatnim czasie notowano 2 miliony bezrobotnych, przy ogólnej liczbie 10 milionów osób w wieku produkcyjnym. Na domiar pogarszały sytuację wewnętrzne zamachy terrorystyczne oraz tarcia na tle autonomii regionów. Poważne różnice zdań w partii rządzącej na temat sposobu rozwiązywania problemów i w konsekwencji tego opuszczanie jej szeregów przez wielu deputowanych sprawiło, iż UCD stała się siłą niezdolną do energicznego działania.

Oslabienie rządu w wyniku rozbitcia partii było na ręce zwłaszcza reakcyjnemu ugrupowaniu w armii. Kłeska pierwszej próby zamachu stanu, która miała być sygnałem do wyzwolenia się „ducha Franco” w Hiszpanii, poniosła klęskę. W armii powstawały więc dalsze plany przejęcia władzy. Wykrycie spisku tuż przed wyborami i triumf wyborczy socjalistów, dają teraz możliwość utemperowania tych polityków wojskowych, którzy marzą o dyktaturze. Sekretarz generalny PSOE wielokrotnie zapowiadał, że wymusi lojalność armii i odsunie niebezpieczeństwo zamachu stanu. Czy mu się to uda? Wielu polityków sądzi, że jeśli tego szybko nie uczyni, jeśli nie podejmie zdecydowanych kroków wobec reakcyjnej części wojskowych, zapłaci za lekkość tak, jak zapłacił rząd UCD. Upadek socjalistów otworzyłby teraz drogę do władzy znajdującej się na drugim biegunie politycznym partii Sojusz Ludowy, partii prawicowej Manuela Fragi Iribarne.

☆☆☆

Przed socjalistami w Hiszpanii, którzy zdobyli tak wielkie poparcie w społeczeństwie, stoi teraz — po latach walki w opozycji, szansa dalszego przeobrażania krajozobu politycznego Hiszpanii. Iberyjska lewica ma wielkie tradycje, z pewnością powinno to pomóc socjalistom w dalszym oczyszczaniu kraju z osadów dyktatury. Ale sprawa najważniejsza w obecnej sytuacji będzie program zahamowania rozszerzającego się kryzysu gospodarczego, a tym samym zahamowanie spadku stopu życiowej. Tylko skuteczność działania w tej dziedzinie otworzy Hiszpańskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej drogę do rzeczowego umacniania demokracji.



Radość socjalistów po zwycięstwie Hiszpańskiej Partii Socjalistycznej w wyborach powszechnych 28 października